ROK III. Nr. 11 (111). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 15 marca 1931 r.

# 7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO
ILUSTR… NE



— IM BARDZIEJ POZNAJĘ LUDZI, TEM BARDZIEJ KOCHAM PSY! (fot. Metro).

*M. A. AŁDANOW.*

# WINSTON CHURCHILL

*(ROZDZIAŁ Z KSIĄŻKI P. T. „WSPÓŁCZEŚNI", KTÓRA UKAZAŁA SIĘ W DRUKU W PRZEKŁADZIE POLSKIM).*

Winston Churchill jest niewykłą i efektowną postacią. Uczestniczył w pięciu kampanjach, w Azji, w Afryce, w Ameryce, walczył w pociągu pancernym, uciekając z niewoli, przeżył prawdziwie bajeczne przygody; wszystko to jest dość niezwykłe dla brytyjskiego premjera, a Churchill prawdopodobnie wkrótce będzie premjerem. Został ministrem w trzydziestym drugim roku życia, mając zaś lat czterdzieści dysponował flotą brytyjską w dobie największej, jaką zna historja, wojny. Był liberałem, był również konserwatystą. Wychwalał boerów, wychwalał też i faszystów. Głosił przymierze z socjalistami, głosił również przymierze przeciw socjalistom. Pewna lekkość myśli nie przeszkadza mu być, o ile mogę sądzić, niezwykle porządnym i szlachetnym człowiekiem. Winston Churchill zajmował się nietylko sprawami wojennemi i rządowemi. Jest dobrym dziennikarzem i, razem z Lloyd George'em, oraz lordem Birkenheadem, jest światowym rekordzistą honorarjum dziennikarskiego: zdaje się, że płacą mu pięćset gwinei, t. j. 70 tysięcy franków za artykuł. Nie znaczy to, naturalnie, że angielskie czasopisma tak wysoko cenią publicystyczny talent Churchill'a, który pisuje zresztą wcale nieźle, jednakże jakiś tam André Vidal, otrzymujący w „Figaro" za kronikę parlamentarną, zapewne franka od wiersza, pisze bezwzględnie lepiej. Churchill i Birkenhead potrzebni są dziennikom dla reklamy, jako poważni polityczni wodzowie. Ów anegdotyczny tłumacz, który słowa „bien être général" przetłumaczył „dobrze być generałem" — miał w gruncie rzeczy słuszność: rzeczywiście, bardzo dobrze być generałem. Churchill pisywał również powieści, a nawet malował obrazy. Obrazów jego nie widziałem, powieściopisarzem zaś jest nieszczególnym i w swoim czasie krytycy zwracali mu uwagę, że właściwie beletrystyka to nie jego rzecz. Podobnie Sarah Bernhardt w wolnych chwilach rzeźbiła posągi. Patrząc na nie, Rodin wymyślał ordynarnie i odgrażał się, że wstąpi na scenę.



*Winston Churchill.*

— — — — — — — — — — — —

Winston Churchill nie otrzymał uniwersyteckiego wykształcenia. Ukończywszy szkołę w Harrow, wstąpił do szkoły wojskowej w Sandhurst, z której w dwudziestym roku życia przeszedł do 4-go pułku huzarów. Bardzo szybko sprzykrzyła mu się pokojowa służba w szeregach. Jak na złość, w owym okresie nie było żadnej wojny. Jednakże, w drugim miesiącu służby, wstąpiwszy, jak zwykle, do klubu, Churchill przeczytał w pismach depeszę: na Kubie wybuchło następne z kolei powstanie.

Z dużem prawdopodobieństwem można przypuścić, że idee owego powstania nie wywołały ani szczególnego entuzjazmu, ani szczególnej nienawiści w duszy młodego angielskiego huzara. Możnaby raczej mniemać, że nie posiadał zasadniczych wiadomości o sprawach kubańskich. Jednak poezji w owem egzotycznem powstaniu było aż nadto. Ileż warte są imiona bohaterów rewolucyj i kontrrewolucyj, dość często wybuchających na wyspie Kubie! Przywódca kubańskiego ruchu rewolucyjnego zupełnie poważnie nazywał się markiz de Santa Lucia. Ludzie o nazwiskach w rodzaju cabalero de Rodas, Moksimo Gomez, Martinez Campos dokonywali przeróżnych czynów bohaterskich w miejscowościach, noszących nazwy: Santa Clara, Mansanillo, Pinar del Rio, Santiago de Los Vegas. Walki odbywały się naturalnie, przy świetle księżyca, na porosłych orchideami polanach i w oplecionych gęstwiną ljan lasach hebanowych. Kubańczycy walczyli, kubanki wieńczyły bohaterów — „Carmen" w owym okresie dokonała już swego zwycięskiego pochodu po Europie po początkowem niepowodzeniu, które doprowadziło do grobu George'a Bizet. Serce dwudziestoletniego huzara nie wytrzymało tak ważkiego naboju poezji. Winston Churchill postarał się o urlop i w trzy tygodnie później walczył już na dalekiej wyspie jako wolontarjusz. Nie wiem, z kim właściwie walczył. Być może, że i sam o tem nie wiedział. Nasyciwszy się dowoli kubańską poezją, powrócił do domu, ale nie zasiedział się w ojczyźnie: 4-ty pułk huzarów wkrótce został wysłany do Indyj. Tam również wybuchła jakaś wojna—Churchill wybłagał urlop u zwierzchników i, jako ochotnik, odbył trudną kampanję. Później Anglicy walczyli z derwiszami w Afryce. Winston Churchill trafił tam również—musiał tylko zmienić 4-ty pułk huzarów na 21-szy ułanów. Churchill brał udział w sławnym ataku kawalerji pod Omdurmanem, który dwadzieścia pięć lat temu wydawał się jednym z najwspanialszych czynów angielskiej historji wojennej. W okresie lat 1914-18 bitwa, rozmiarami odpowiadająca walce pod Omdurmanem, nie byłaby nawet wspomniana w komunikacie sztabu generalnego. Dodam jeszcze, że Churchill walczył w Sudanie na własny rachunek: taki warunek postawiła mu jego zwierzchność. A ponieważ młody rycerz nie chciał, czy też nie mógł wykosztowywać się, postanowił więc, według jego własnych słów, kierować się napoleońską zasadą: „wojna powinna opłacać wojnę" i zaofiarował swe usługi dziennikom, jako korespondent wojenny. Artykuły jego w „Morning Post" uczyniły go znanym. Jednakże pociągnęły również dla niego i nieprzyjemne skutki. To było do przewidzenia: Churchill usiłował połączyć dwa rzemiosła, bardzo trudno dające się połączyć ze sobą.

Życie Winstona Churchill'a do pewnego stopnia sprowadza się do procesu wyzbywania się przeróżnych złudzeń, przez mądrego, niezwykle uzdolnionego i szlachetnego człowieka. Na tem polega pewne podobieństwo jego życia i życia Georgea Clemenceau. Widocznie, we wczesnej młodości wyobraźnia Churchill'a malowała mu gentlemańską rycerską wojnę z wymianą uprzejmości, z walką szlachetności, z „Messieurs les Anglais, tirez les premiers"—słowem, ową wojnę, która istniała jedynie w fantazji Walter Scotta i romantyków jego szkoły.

— — — — — — — — — — — —

Winston Churchill opisał tę wojnę — i to odbiegając daleko od zwykłego tonu wojennych korespondencyj. Młodzieniec odziedziczył charakter swego ojca. Nie tylko pozwalał sobie na pisanie o swych zwierzchnikach, ale nawet nie bardzo krępował się w wyrażeniach. W wyższych sferach wojskowych „Młody karjerowicz", jak przezwano syna lorda Randolpha, odrazu stał się dość niepopularną postacią. Sądzę, że niesprawiedliwość oskarżenia o karjerowiczostwo jest dostatecznie widoczna: każdy człowiek rozumie, na jaką karjerę wojskową liczyć może młody oficer, który publicznie potępia, a nawet łży naczelnego wodza. A naczelny wódz armji sudańskiej nie odznaczał się łagodnością i dobrodusznością. Sir Herbert Kitchener (w owych czasach jeszcze nie lord), człowiek o ponurym i gwałtownym charakterze w dodatku znieść nie mógł dziennikarzy.



*Lloyd George.*

— — — — — — — — — —

Jednakże nie na tem skończyła się jego karjera wojskowa. W następnym roku wybuchła wojna z boerami. Churchill udał się do Afryki już w cywilnem ubraniu „z ołówkiem i rewolwerem", w charakterze korespondenta wojennego przybywszy jednak do Transwalu, nie wytrzymał i wziął udział w walkach. W listopadzie

1899 roku, pociąg pancerny, w którym się Churchill znajdował, został otoczony przez boerów i po rozpaczliwym oporze dostał się do niewoli. Naczytawszy się opowiadań o okrucieństwie boerów, Churchill oczekiwał, że poddadzą go wszelakimi torturom. Boerowie jednakże, zachowali się w stosunku do obrońców pociągu całkiem dobrodusznie, widząc zaś młodość najważniejszego jeńca, urządzili dlań parję footbalu. W niewoli Churchil poświęcał się głównie studjowaniu książki o wolności Johna Stuarta Mill'a. O książce tej mówi się zwykle, że daje ona swym czytelnikom pełną wewnętrzną swobodę. Churchill'a widocznie jednak zdecydowanie nie zadawalało duchowe wyzwolenie z niewoli. Zupełnie nie był podobny do Platona Karatajewa. Na dobitkę właśnie, na dwa dai przed dostaniem się do niewoli pociągu pancernego, rzucał gromy na ludzi godzących się na los jeńców. — Niema nic głupszego i bardziej poniżającego nad rolę jeńca, — pisał. — W istocie bowiem w ciągu bardzo długiego czasu robi się wszystko, co w naszej mocy, poto, aby zabić nieprzyjaciela, potem zaś, kiedy się to nie powiodło, w milczeniu prosi się go o darowanie życia. — Churchill postanowił uciec. Nie będę szczegółowo opisywał historji tej ucieczki — to najprawdziwszy Main-Read. Powiem tylko, że przelazł przez wysoki mur, w odległości kilku metrów od stojącego tyłem wartownika, wskoczył do przejeżdżającego pociągu towarowego, podróżował bez strawy i napoju w worku z szerścią, potem znów w biegu wyskoczył z pociągu i długo błądził po nieprzyjacielskiej stronie na los szczęścia. Na głowę zbiegłego książęcego wnuka nałożono cenę i na Transwaalskiej ziemi rozklejono 3.000 jego fotografij. Aby bardziej jeszcze upoetycznić wszystko, Churchill wysłał do boerskiego ministra wojny list, w którym dziękował za przyzwoite traktowanie i prosił, aby mu wybaczono, że nie mógł osobiście złożyć swego uszanowania. Churchill szedł nocami, jako tako orjentując się według gwiazd, we dnie zaś ukrywał się w starych zarzuconych kopalniach, w wąwozach, spędzał długie godziny w towarzystwie jastrzębi i szczurów. Szczęście sprzyjało mu: wydostał się poza granice wroga. Ucieczkę swą Winston Churchill, naturalnie, opisał w „Morning Post" — i odrazu stał się sławny. Kampanję odbył do końca, ale widocznie zupełnie rozczarował się do wojennego rzemiosła. Na dobitkę doszedł do wniosku, że wojna Transwaalska jest niesprawiedliwa, że prowadzi się ją w niesłusznej sprawie i że boerowie, jako ludzie, stoją wyżej, niż Anglicy.

Myśli te wypowiedział w druku, nie krępując się, ze zwykłą sobie otwartością. Cywilni tępiciele boerów, oczywiście, zwymyślali go, nazywając zdrajcą, zresztą nieszczególnie gorąco, raczej dla przyzwoitości. Zbyt głupio bowiem było oskarżać o defetyzm człowieka, który jako ochotnik odbył pięć kampanij—w dodatku był potomkiem w prostej linji najsławniejszego z angielskich wodzów. Poza tem, pod względem sportowym, ucieczka Churchill'a była bezkonkurencyjna. Wojenny korespondent „Morning Post" stał się modny. Churchill został Lindberghem 1900 roku.

Rozpoczynała się jego wspaniała karjera polityczna.

Do parlamentu Churchill wszedł, zgodnie z tradycją, jako kandydat konserwatystów. Jednakże w owym okresie droga konserwatystów absolutnie nie godziła się z jego wytyczną. W partji usiłował przeprowadzać socjalno-reformatorski program swego ojca — i, podobnie, jak ojciec, napotkał na bardzo poważny sprzeciw. — Partja konserwatywna jest partją klas uprzywilejowanych — z niezadowoleniem zwrócił uwagę Randolphowi Churchill'owi w prywatnym liście lord Salisbury. Podobnie w dwadzieścia lat później przestrzegali Winstona Churchill'a jego starsi koledzy. „Powtarza poważną życiową omyłkę swego ojca", — pisał z naganą dziennik „Times". Osobisty sukces Churchill'a był jednak bardzo duży. Po jednem z jego wystąpień w izbie, liberalny publicysta Massingham pisał, że od czasu śmierci Gladstone'a nie słyszał w Parlamencie takiej mowy. „Mister Churchill, prawdopodobnie, zostanie kiedyś premjerem, — prorokował Massingham — i to, mam nadzieję, premjerem liberalnego gabinetu". Po trzech posiedzeniach izby rozłam między Churchill'em i partją konserwatywną w całym szeregu zagadnień stał się tak olbrzymi, że podczas jego przemówień konserwatyści demonstracyjnie opuszczali salę posiedzeń. Liberali zaś, przeciwnie, urządzali owacje niespodziewanemu sprzymierzeńcowi. Taka sytuacja, naturalnie, nie mogła trwać długo. Churchill odszedł, „trzasnąwszy drzwiami.—„Dzięki Bogu w Anglji istnieje również partja liberalna". — powiedział w swem przemówieniu w Halifaxie. Podczas wyborów w roku 1906 znów postawił swą kandydaturę do Parlamentu, tym razem już jako liberał.

— — — — — — — — — — — — — — —

Rządowa karjera Churchill'a jest ogólnie znana. W liberalnym gabinecie piastował obowiązki wice-ministra kolonij, później ministra handlu, i ministra spraw wewnętrznych. Na wszystkich tych stanowiskach ujawniał zarówno gorącą działalność, jak i niezwykły radykalizm. Wspólnie z Lloyd George'em stanowił najskrajniejsze lewe skrzydło lewicowego rządu. Z nazwiskiem Churchill'a związane są wybitniejsze projekty prawodawcze, tyczące samorządu kolonij afrykańskich, irlandzkiego Home-rull, ograniczenia dnia roboczego, państwowego ubezpieczenia klas nieposiadających. Przy jego czynnem współdziałaniu Lloyd George przeprowadził historyczny „rewolucyjny budżet" 1909 roku. W walce Lloyd George'a z Izbą lordów Churchil brał najbliższy udział. Pamiętną ową walkę obie strony prowadziły nie nazbyt uprzejmie. Lloyd George na meetingach przypominał „partji książąt" szafot Karloa I. Książe Beaufort mówił, że największą radością jego życia byłoby poszczucie Lloyda George'a gończemi psami. W kampanji przeciw książętom wnuk księcia Malborough przeszedł swego mistrza. W salonach uchodziło to dość gładko, — widocznie w tem środowisku stosunek do Churchill'a był zawsze życzliwie-ironiczny: ktoś nazwał go nawet „dobrotliwym braciszkiem ubogich". Na meetingach jednak bywało gorzej. W Birmingham pewnego razu omal nie rozszarpano Churchill'a na strzępy. Zato „ubodzy" kochali go nadzwyczajnie. Podczas nowych wyborów do parlamentu partja robotnicza postanowiła nie wysuwać swego kandydata przeciw przyszłemu „pożeraczowi socjalistów".

Ten sam niefałszowany entuzjazm, tę samą wiarę w nieuniknioy postęp Winston Churchill wnosił również do rozstrzygnięć problematów polityki zagranicznej. W owym okresie był on jednym z czołowych przywódców wszecheuropejskiego pacyfizmu. Razem z Lloyd George'em Churchill uważał „niemiecki militaryzm" za wymysł brytyjskich reakcjonistów. Jednakże nie trwało to długo. W roku 1911 demonstracja, urządzona przez niemiecką kanonierkę „Panther" u brzegów Marokka, omal nie pociągnęła za sobą wojny europejskiej. Agadirski incydent został załagodzony, ale w sferach pacyfistycznych powstał rozłam. Niektórzy z działaczy politycznych dojrzeli w tem zdarzeniu nowy, oczywisty dowód tego, że „Niemcy nie zdobędą się na to" i że wojna jest niemożliwa. „Pomnik niemieckiego militaryzmu odtąd zdobić będzie pantera z podkulonym ogonem", — rzekł jeden z najzapaleńszych ludzi tego okresu. Są historyczne zdania, które powinnyby, jak bumerangi, wracać po jakimś czasie do tego, który je rzucił. Człowiek, który z tak niezwykłą przenikliwością dopatrzył się w podkulonym ogonie charakterystycznej cechy niemieckiego militaryzmu, w trzy lata później został zabity na wojnie.

Zaznaczyć należy, że Agadirski incydent wywarł na Churchill'u wprost przeciwne — i to bardzo silne — wrażenie. Churchill doszedł do przekonania, że na Europę ciągnie katastrofa, Anglji zaś grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Na jego życzenie, Asquith powierzył mu kierownictwo ministerstwa marynarki ze szczególnem zadaniem przygotowania do wojny floty brytyjskiej. Na tem stanowisku Churchill pozostał przez kilka lat. Zasługi jego w sprawie doprowadzenia floty do gotowości bojowej wysoko cenią nachowcy. W swych oficjalnych przemówieniach w dalszym ciągu występował jako pacyfista. Zresztą, na temat konieczności zachowania pokoju wygłaszali w tym okresie przemówienia — i to bardzo dobre — najzacieklejsi z niemieckich militarystów. Nawet Wilhelm II zanosił modły o odwrócenie wojny światowej. Podobnie Karol V, trzymając papieża na wygnaniu, codziennie błagał Boga o obdarzenie wolnością pierwszego kapłana rzymskiego.

*(Dokończenie w następnym numerze)*



*W uznaniu usług, oddanych na polu ogrodnictwa i sadownictwa, wręczono p.p. Jankowskiemu i P. Hoserowi tytuły doktorskie honoris causa.*

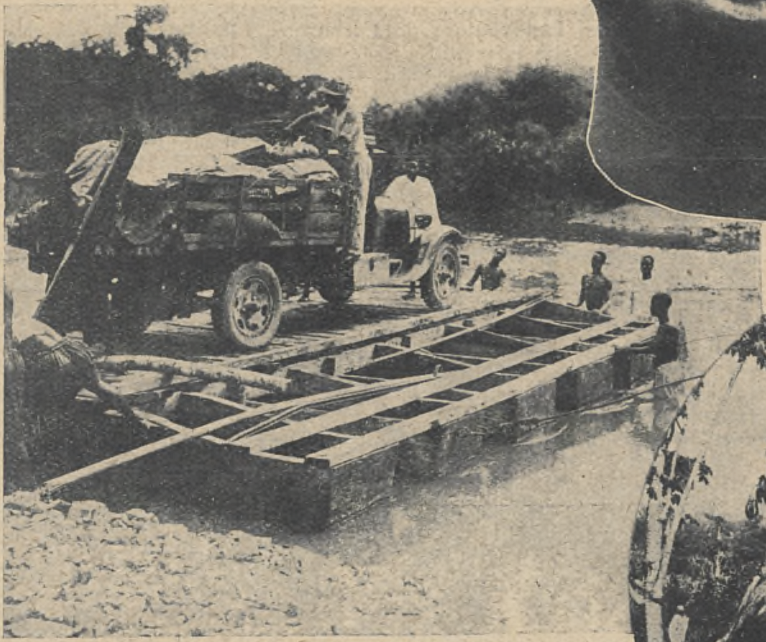
# Z GWINEI DO SUDANU



*Wybrzeże rzeki Niger.*

I.

Sudan francuski, mimo że nie posiada zbyt wielkich widoków w kierunku rozwoju ekonomicznego, był oddawna otaczany szczególną opieką administracji francuskiej, pokładającej w nim specjalne nadzieje. Posiadał i posiada dotychczas wyjątkowo energicznych i znakomicie orjentujących się w miejscowych stosunkach gubernatorów, dzielną administrację; poczyniono również w tej kolonji znaczne wkłady pieniężne, niekiedy nawet ze szkodą dla innych krajów, należących do Zachodniej Francuskiej Afryki.



*Przeprawa promem przez rzekę Milo.*

Stolica Sudanu — Bamako, siedziba gubernatora oraz główny ośrodek handlowy, rozwinęła się w niesłychanie prędkim czasie. Liczne faktorje i domy handlowe mają tu swe centrale, trzy banki — swe oddziały. Zamieszkuje Bamako przeszło tysiąc europejczyków, zatrudnionych bądź w administracji i wojsku, bądź w handlu. Miasto, ciekawe dla podróżnika, posiadające niemal wykwintnie urządzoną dzielnicę białych oraz obszerne, porządnie zabudowane „miasto czarnych". Elektryczność, kanalizacja, starannie utrzymane gmachy rządowe, hotele — wreszcie dworzec linji kolejowej Senegal — Sudan, dają najlepsze świadectwo energicznej i celowej pracy administracji francuskiej. Tak mnie informuje mój przemiły towarzysz podróży, p. de Froberville, z którym udaję się po raz pierwszy do Sudanu. Zna on świetnie miejscowe stosunki, przebywając od szeregu lat w kolonjach — to też jego uwagi i spostrzeżenia należy zaliczyć do wyjątkowo wprost źródłowych.

Oczekuje nas podróż dość łatwa, gdyż poza dwoma przeprawami przez rzeki, nie należy oczekiwać specjalnych trudności. Osławionych mostków afrykańskich, z których każdy niemal grozi katastrofą, będziemy mieli niewiele, gdyż w miarę oddalania się, kraj staje się coraz bardziej suchy i piaszczysty — rzek tu prawie niema. Jednak, jak zwykle podczas podróży przez dżunglę, trudno coś zgóry przewidzieć, zwłaszcza, jeżeli się zdarzy jakiś defekt motoru samochodowego, pracującego tu stale w fatalnych warunkach.

Wyruszamy o brzasku, pragnąc wykorzystać senne godziny. Droga — dobra, widać niedawno naprawiona przez administrację i okolicznych królików murzyńskich. Krajobraz, przesuwający się przed nami, jest zupełnie inny, niż to miałem możność zaobserwować przed paru tygodniami, gdy po raz pierwszy udawałem się do Siguiri. Zbliżamy się, po przeszło półrocznej suszy, wielkiemi krokami do okresu deszczów. Pod dobroczynnym wpływem kilku deszczów, *broussa* *) jakby ożyła — niezliczone rodzaje traw i krzewów zarastają puste przedtem przestrzenie; step ma wygląd miejscami jakby wielkiego parku, z grupami charakterystycznych drzew, z równo, niby nożycami obciętymi wierzchołkami, co upodabnia je do wywróconych do góry dnem parasoli. Pomiędzy drzewami rozpościera się jasno zielona murawa, przyczem zwykłe trawy dochodzą tu do niesłychanej wysokości. Niekiedy na pustej przestrzeni wznosi się majestatycznie samotny, ogromny baobab, z potężnemi, krętemi konarami. Mijamy wciąż niezliczone kopce termitów, zbliżone kształtem do wielkich grzybów, a dochodzące czasem do wysokości dwuch metrów. Nagle ukazuje się jakby wielki łan dojrzałego złoto-żółtego żyta; jednak to łudzące podobieństwo wnet pryska — to wysokie, przeszło na metr, suche trawy i trzciny.

Niekiedy mijamy wsie murzyńskie, ukryte w cieniu wielkich mangowców i drzew kapokowych. Po środku wsi, pod rozłożystemi konarami wielkiego drzewa, gromadzi się zazwyczaj cała ludność męska, spędzając czas na nigdy nie kończącej się gadaninie ze swymi sąsiadami, lub przypadkowym podróżnym. Przy pracy widzi się ich nader rzadko — cały jej trud ponoszą kobiety stale zajęte przy gospodarstwie lub w polu. Zastanawiającem jest, z czego ludność żyje: koło wsi nie widać prawie nigdzie kawałka ziemi uprawnej; niekiedy tylko znajdujemy małe poletko z zasadzonemi pałatami, fonio lub ryżem, przy domach —parę krzewów bananowych — i to wszystko. Bieda też musi być ogromna, nawet jeżeli się weźmie pod uwagę minimalne potrzeby czarnych, jedzących mało i byle co.



*Mój boy Mamadu.*

Zbliżamy się do przeprawy przez Milo. Po drugiej stronie rzeki widnieją wśród drzew zarysy trzcinowych, stożkowych dachów chat — to wieś Niandan-Kora. Na ciągłe sygnały naszego klaksonu pokazuje się wreszcie na przeciwległym brzegu paru negrów którzy niezwłocznie rozpoczynają rozmowę z naszym służącym, Lanzaną





*U góry, drzewa papajowe; u dołu, wieś Niandan-Kora.*

*) Dżungla, step.

Na tamtym brzegu staje się coraz ludniej. Przekrzykiwanie się mego boy'a ze swymi rodakami przedłuża się, nabierając w końcu tak wybuchowej „intensywności", że zaczynam się obawiać, czy to nie jest już kłótnia. Nie chcąc, aby murzyni, poobrażani na Lanzanę, umyślnie zwlekali z dostarczeniem promu, wtrącam się do rozmowy: „Lanzana, kiedy dadzą nam prom?"

— Poczekaj, panie, już poszli po przewoźników...

—A poco ty się z nimi tak kłócisz?

Tu następuje zgoła nieoczekiwana odpowiedź:

— *Non, mon patron, — on s'amuse en attendant!*

Nie trzeba dodawać, że to „zabawianie" się trwało z dobrą godzinę, zanim podepchnięto prom do naszego brzegu.

Przez rzekę, w najpłytszem miejscu, przeprawiają się wbród czarni, ostrożnie stąpając po piaszczystem dnie i oglądając się bacznie na wszystkie strony — usprawiedliwiona obawa przed niepożądanem zjawieniem się krokodyla. Piękny to widok, gdy sznur nagich murzynów, postępujących gęsiego i niosących na głowach swe pakunki i odzienie, w chwilach, gdy nurt staje się głębszy, unosi je z ostrożności wysoko do góry, jakby w ofierze jekiemuś nieznanemu bóstwu. Małe dzieciaki, wrzeszcząc zapamiętale, wyprawiają harce w wodzie, wzbijając całe masy pyłu wodnego.

Od Siguiri dzieli już nas zaledwie parę kilometrów, lecz dotarliśmy tam dopiero późnym wieczorem, gdyż wypadło nam, niestety, zatrzymać się w drodze z powodu t. zw. *panny.*

Zdaleka widać jakby wielką łunę, rzucającą krwawy odblask na ciemno-granatowe niebo. Cała mieścina spowita jest w kłęby białego dymu, unoszącego się z niezliczonych ognisk, rozpalonych przez jej czarnych mieszkańców. Dolatuje głuche dudnienie bębnów, słychać jazgotliwe dźwięki balangni *) oraz niewyraźny pogwar zmieszanych głosów ludzkich.

Od mego znajomego, agenta wielkiego domu handlowego „Niger-Francais", u którego zatrzymaliśmy się na nocleg, dowiaduję się, że w pobliskiej wiosce odbywa się tej nocy wielka uroczystość weselna. Z okazji małżeństwa syna tamtejszego królika cała okoliczna ludność bierze udział w zabawach i tańcach, których ukoronowniem będzie t. zw. „taniec ognia". Mimo zmęczenia, ogarniającego mnie po całodziennej, uciążliwej podróży podczas największej spiekoty, postanawiam skorzystać z nadarzającej się sposobności przyjrzenia się tym, nieznanym mi jeszcze, dziwom.

*Roman Sobolewski.*

*) Rodzaj cymbalek.

## Akademja sztuki wymyślania

Są nią Włochy. — Mowa tu oczywiście o słonecznej Italji, a nie o naszej miłej podwarszawskiej miejscowości. Obfitość italskich przekleństw i wymysłów jest poprostu niewyczerpana. Ten, który umie najlepiej wymyślać ma po swojej stronie sympatję widzów. Najbardziej obraźliwemi i dotkliwemi są uwagi na temat rodziny, szczególnie żeńskich jej członków. Do najcięższych należy (jeśli chodzi o Rzym) wyklinanie bliskich krewnych matki oraz ciotki (w Neapolu). W Rzymie przeklina się nietylko żyjących, lecz sięga się i do genealogji. Pewne części ciała ludzkiego i poszczególne organy jego są synonimami głupoty, kretynizmu i niezdarności. Podczas najgorętszych rozpraw można przeciwnikowi zarzucić homoseksualizm — z tej dziedziny pochodzą też przekleństwa i wyzwiska najgorszego gatunku. Taki zaś frazes, jak „obyś skonał ciężką i nagłą śmiercią" jest nie tyle obrazą, ile zwykłym sobie refrenem, podczas którego zwraca się uwagę nie na słowa, lecz na gesty. Ilość wyzwisk ze świata zwierzęcego jest oczywiście niezmierna. Chcąc obrazić męża, należy mu opowiedzieć wymyśloną zręcznie historję przygód erotycznych małżonki.

Mistrzami wymyślania są dorożkarze. Dwóch dorożkarzy potrafi obrażać się wzajemnie w ciągu jednej godziny, nie powtarzając tychsamych słów, nie schodząc z kozła i zgodnie ze starym obyczajem nie wypominając sobie ciotek.

Pamiętać jednak należy o tem, iż w Italji przekleństwa są policyjnie wzbronione, a przyłapanie na gorącym uczynku wyklinania kosztuje dziesięć lirów. Temniemniej Włosi klną ustawicznie, tylko że może dlatego właśnie wymiana zdań trwa nie dłużej, niż pięć minut.



Wnętrze palarni opjum.

MAURYCY DEKOBRA.

# Jedenasta noc

Z CYKLU: „WĘDRÓWKI PO KALIFORNJI".

*W poprzedniej korespondencji M. Dekobra opisuje teatr chiński, w którym poznaje pewnego Chińczyka, najlepszego, zdaniem bryg. Maniona, cicerone, obeznanego ze wszelkiemi tajnikami żółtej dzielnicy. Chińczyk prowadzi autora na miejsce, gdzie w r. 1918-m kryła się palarnia opjum, w której popełniono sensacyjną zbrodnię.*

Stary Chińczyk wskazał mi pakę, mogącą zastąpić krzesło i starannie zamknąwszy opancerzone drzwi, rozpoczął swe opowiadanie:

— Wzdłuż tej oto ściany, za panem, stały trzy łoża — jedno nad drugiem. Draperje, z czerwonej materji, osłaniające każde z nich, odgradzały amatorów palenia od całego świata. Tu pogrążali się całkowicie w sennych marzeniach i wystarczyło wyciągnąć rękę, a podawano ci fajkę z kuleczką żarzącego się opjum, misternie preparowaną przez czujnego na każde wezwanie pomocnika pana Fu Wanga. Po drugiej stronie stały dwa łoża. Na podłodze — makaty i parę przyćmionych lampek po kątach.

Już panu mówiłem, jak to p. S. zawarł był umowę z p. Fu Wangiem celem wprowadzenia do palarni pewnej damy. I rzeczywiście, po paru dniach Chińczyk, stojący na straży przy okienku w drzwiach wejściowych, spostrzegł p. S. w towarzystwie dwóch białych dam. Jedna z nich była mała, rudowłosa, śmieszna, druga, nieco starsza, brunetka, o ponurem wejrzeniu.

Pan Fu Wang pośpieszył na spotkanie gości. Mniejsza z pań, ta ruda, zdawała się ogromnie interesować tajemniczem posiedzeniem i nie zwlekając poszła za przykładem p. S. i jego ciemnowłosej towarzyszki, którzy już leżeli na kozetkach, pociągając z fajeczek wonny dym.

Trójka gości opuściła przybytek pana Fu Wanga o 3-ej nad ranem.

Oczywistą jest rzeczą, że p. Fu Wang nie omieszkał poinformować się, z kim ma do czynienia i wysłał wślad za swymi gośćmi jednego ze swoich służących, który po paru dniach mógł złożyć wyczerpujące sprawozdanie.

Okazało się więc, że p. S. jest mężem tej rudej i że od dłuższego czasu żyje z czarną, dalej że p. S. ożenił się na początku wojny, lecz dość już ma tego wszystkiego i chętnieby się rozwiódł, aby poślubić czarną panią, gdyby nie to, że oboje nie mają pieniędzy; żona jego natomiast jest bogatą kobietą i posiada nie mniej 3-ch miljonów dolarów.

Pan Fu Wang nie był w ciemię bity. Garstka tych danych wystarczyła mu do zrozumienia, iż p. S. chodzi nie tylko o dostarczenie małżonce rozrywki. Bo istotnie — nadobna trójka stale odwiedzała go, lecz podczas gdy p. S. i czarna dama odgrywali komedję, udając tylko, że rozkoszują się paleniem, ruda pani z każdym dniem zdawała się odczuwać coraz większy pociąg do narkotyku. Aż oto pewnego wieczora p. S. odciągnął gospodarza na stronę i zdemaskował się:

— Panie drogi, — oświadczył panu Fu Wang — uprzedzam pana, że nastąpi od jutra pewna zmiana. Ruda pani przepada za opjum i będzie przychodziła sama. Chodzi mi teraz o to, aby do reszty straciła głowę i była gotowa na wszystko, byleby tylko otrzymać swoją codzienną porcję. Liczę w tem na pana i dodam jeszcze tysiąc dolarów, byleby się to udało w ciągu jednego miesiąca. Jestem pewien, że pan przystanie, a jeśli chodzi o dyskrecję — to również nie mam obaw, gdyż leży to całkowicie w interesie pańskim... Jedno słówko, a pieniądze przepadną, no i postaram się, aby przybytek ...

Pan Fu Wang uśmiechnął się enigmatycznie i przerywając p. S., wyrzekł sentecjonalnie:

— Czy zaśpiewa skowronek, kiedy wie, że może ściągnąć na siebie uwagę orła? Słówka nie pisnę. Może pan być pewien. I wiem, co mam robić, aby ta pani w ciągu kilkunastu dni szalała za fajeczką...

— O to mi chodziło..

Nowy układ należało uważać za obowiązujący. Miał się rozegrać dramat, o którego finale wiedziało troje ludzi — chiński gentleman, dyskretny jak kamień i para kochanków, spragniona dopięcia celu. Pani S. przychodziła codziennie o 11-ej wieczorem i nie opuszczała palarni przed południem następnego dnia. A przebiegły pan Fu Wang codziennie powiększał ilość fajeczek.

Jedenastego wieczora gospodarz zamknął palarnię dla postronnych gości, gdyż pragnął wyłącznie poświęcić się pani S. i postanowił poddać ją wyrafinowanym męczarniom, których nikt nie zdoła przenieść.

Pan Fu Wang posiadał wazon z zielonego jaspisu z pękniętem dnem. Napełniwszy go wodą i unosząc w powietrzu, można było stwierdzić, iż woda sączy się kropla po kropli — co trzy sekundy. Pan Fu Wang zawiesił ten piekielny wazon nad łożem pani S., nad oparciem dla głowy.

I oto jedenastej nocy, kiedy pani S. leżała w odrętwieniu po kilku fajeczkach, pan Fu Wang unieruchomił jej głowę i napełnił naczynie wodą...

Tu przerwał stary Chińczyk swe opowiadanie i wskazał mi ręką dokładne miejsce, gdzie stało łoże.

— Niech pan popatrzy... Tu, w tem miejscu, leżała nieszczęśliwa dama i woda — kropla po kropli kapała jej na czoło. Co trzy sekundy... Wciąż w jedno miejsce... Rozumie pan? Na środek czoła... Jeśli kiedykolwiek próbował pan palić, to prawdopodobnie odczuł pan, jak większość osób, że ciało powoli traci swoją wagę i jak balon unosi się w powietrzu. I oto kropla, padając na czaszkę, z pod której, jak się zdaje, wszystko uleciało, — kropla ta właśnie oddziaływa na pacjenta, jakby dźwięk dzwonu, rozchodzący się po całem ciele — wstrząsający.

Pani S. przychodziła codziennie i coraz wcześniej, czasem zostawała na cały dzień. Namiętność pokonała ją i jeden już tylko widziała cel — opjum u Fu Wanga, jej dobroczyńcy.



Grupa chińczyków z żółtej dzielnicy San Francisco

Pewnego wieczora, kiedy zabierała się do wyjścia, pan S. zatrzymał ją na progu i oświadczył, iż policja zamknęła palarnię Fu Wanga. Chińczyk zniknął bez śladu... Pani S. słuchała z przerażeniem. Co teraz pocznie? A małżonek wystąpił wówczas z następującą propozycją: wzamian za przepisanie na niego trzech czwartych jej majątku, zobowiązując się podać nowy adres pana Fu Wanga.

Dolary? Nie było ceny, za którąby pani S. nie zechciała zapewnić sobie możność korzystania z narkotyku. Nie widziała już życia bez opjum.

To też z lekkiem sercem podpisała zrzeczenie się paru miljonów, byleby dostać się do przybytku szczęścia.

Natychmiast wsiadła do auta, które miało ją zawieźć do Fu Wanga, lecz okazało się, że w domu, gdzie miał zamieszkać jej dobroczyńca — w mieszkaniu na dziesiątem piętrze w dzielnicy Seatle — chińczyka niema śladu. Przygotowano tu dla niej więzienie, w którem, rzecz prosta, mowy nie było o opjum. Finał nastąpił po sześciu dniach — pani S. wyskoczyła przez okno...

Stary Chińczyk zakończył swe opowiadanie i zachichotał. Śmiał się, bo cóż znaczyło dla niego życie jakiejś tam białej damy... Mucha! Kiwnął głową i jeszcze raz pokazał mi miejsce, gdzie stało straszne łoże.

— A co? Dobrze pomyślana ta sztuka z wodą? Dyń, dyń, kropla po kropli, co trzy sekundy... Pierwszy akt — tu, Drugi — w Seatle... No, a następny?...

— Następny? — odpowiedziałem. — Kto wie, czy teraz właśnie, w tej chwili, dwoje ludzi, gdzieś tam na szerokim świecie, nie ogląda się trwożnie za siebie na myśl o duchu zmarłej?...

Chińczyk skinął głową, cicho zachichotał i poprowadził mnie ku wyjściu.

Jakże swobodniej oddychało się na ulicy!... Nie czułem nawet zapachów które mnie raziły, gdy po raz pierwszy znalazłem się w chińskiej dzielnicy...

---

# Nędza na wesoło

*W wielkim hotelu amerykańskim wakuje posada przy zmywaniu talerzy. Przychodzi pewien kandydat o opłakanym wyglądzie — obdarty i brudny. Godzą go.*

*Uszczęśliwiony, zabiera się do pracy. Już zmył kilka tuzinów talerzy, stara się, jak może — lecz widać, że zmęczony. Wzdycha mimowoli. Spostrzegł to stojący opodal dyrektor i pociesza go:*

*— Nie wzdychajcie, moi drodzy. Robota jest ciężka, ale trudno — trzeba tylko zacząć i starać się. Oto ja, naprzykład, to samo robiłem na początku, a teraz jestem dyrektorem...*

*— No i cóż? — odpowiada biedaczysko. — Bo i ja byłem dyrektorem — i od tego zacząłem, — a teraz zmywam talerze. Jak po amerykańsku — to na całego, co?!...*

*

*Przesądni utrzymują, że stłuczenie szkła przynosi szczęście. Być może...*

*Zdarzenie, które tu powtórzymy, zdaje się w każdym razie potwierdzać to powiedzenie.*

*Był sobie pewien biedny bezrobotny. Po długich staraniach udało mu się otrzymać zajęcie w hucie szklanej.*

*Szczęście...*

*Tembardziej, że przyjaciel nasz był z zawodu kamieniarzem, co bynajmniej nie może być uważane za dobrą kwalifikację do zatrudnienia w przemyśle szklarskim.*

*Po paru dniach przytrafił mu się smutny wypadek, bo oto stłukł cenny wazon.*

*Łatwo sobie wyobrazić, co go za to czekało.*

*Kierownik oddziału wleciał do niego z krzykiem:*

*— Zapłacicie mi za to! Żebym tak był zdrów... Będę wam potrącał jedną czwartą zarobków, dopóki nie pokryjecie straty!...*

*— Przepraszam bardzo, panie kierowniku — spytał robotnik — a ile też kosztuje ten wazon?*

*— Pięć tysięcy...*

*— Chwała Bogu! — westchnął nieborak. — Mam przynajmniej zapewnioną pracę na dłuższy czas!...*



## Kujawski teatr regjonalny



*Śladem Kurpiów, Krakowiaków, Sandomierzan, Ślązaków i Górali — również Kujawiacy swój własny obrzęd weselny utrwalili w widowisku scenicznem p. n. „Wesele na Kujawach" (w opracowaniu prof. Tad. Kurpińskiego) i wystawili je po raz pierwszy w swej stolicy, Włocławku.*

*Kujawski Teatr Regjonalny wystawił w ostatnim czasie „Wesele na Kujawach w szeregu miast kujawskich i okolicznych dzielnic, jak w Brześciu-Kujawskim, Radziejowie, Lipnie, Kutnie, Toruniu, Inowrocławiu i in. i rozpoczyna wyjazdy do dalszych miast Polski, niosąc ciepło pieśni, obrzędów, tańców, strojów, mowy ludu Kujawskiego, dziś prawie że zanikłych już, ustępujących miejsca bliskiej kulturze zachodniej. Podobno w niedługim czasie Warszawa będzie miała sposobność zobaczenia „Wesela na Kujawach"*

# Co słychać na świecie



Klasyczny uśmiech Prezydenta Doumergue'a, uśmiech, który zjednał mu ogólną sympatję tłumów i familjarne przezwisko Gastouneta, dziś już nie schodzi z pogodnego oblicza dostojnika. Bo nareszcie — uśmiech ten stanie się niedługo jego własnością prywatną. Uśmiechać się będzie kiedy tylko zechce, radując się z przejścia do cywila. Chyba że...

I o to właśnie chodzi, że w ostatniej chwili Pan Prezydent waha się, czy nie postawić ponownie swojej kandydatury, zwłaszcza, że gra przedstawia się wcale interesująco wobec tuzina kandydatów, z Briandem na czele.

Najwięcej komentarzy wywołuje ta ostatnia kandydatura.

Oto, naprzykład, podczas wystąpienia jego w obronie polityki zagranicznej przed napaściami Franklin Bouillon'a... Nikomu nie chciał się narazić — ani prawicy, ani centrum, a nawet, ku zdumieniu wszystkich, raczył, po posiedzeniu, uściskać dłoń swemu przedmówcy, nazywając go drogim kolegą. Tego jeszcze nie było! Gra!...

I, nawiasem mówiąc, nie było jeszcze podobnego kandydata, którego wszyscy zgodnie pragną wysunąć na prezydenturę, jedni w uznaniu jego zasług, a drudzy — żeby się go pozbyć, jako kierownika polityki zagranicznej.

Ciżba kandydatów ubiega się o godność prezydenta, a więc, poza wspomnianymi Doumergu'em i Briandem (od drugiego z lewej strony wdół) — Paul Painlevé, Louis Barthou, Fernand Buisson, André Tardieu, Henri Chéron, Jean Hennessy i (od drugiego z prawej strony wdół) — Paul Doumer, Albert Lebrun, André Maginot, Maurice Sarraut, Edouard Herriot i Georges Leygues.

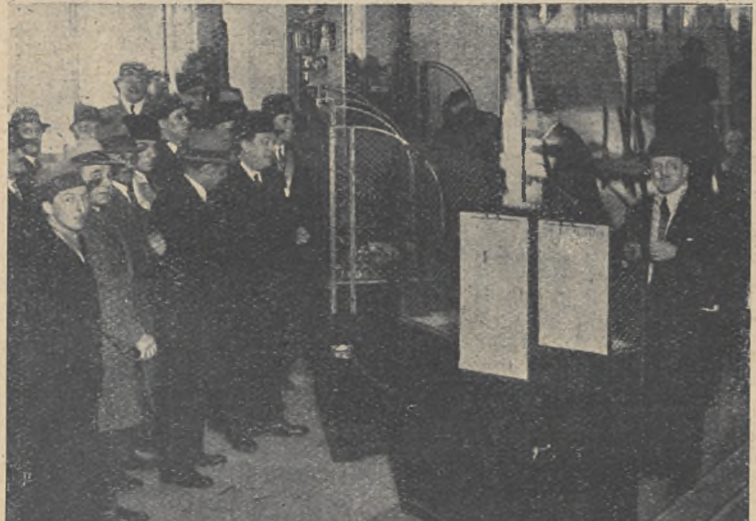




*Uśmiechem miłego Prezydenta Gastouneta zarazili się wszyscy, prześcigając się w uprzejmościach wzajemnych, byleby zdobyć o kilka głosów więcej. Le jeu est fait?...*



*Start kpt. Halewskiego, dowódcy eskadry awionetek, która wyleciała z wizytą do Tallina.*



*Wyścigi dla wszystkich! Pragnąc udostępnić szerokim rzeszom ludności grę w totalizatora, uruchomiono w Paryżu szereg kas w różnych punktach miasta. Inowacja ta cieszy się ogromnem powodzeniem.*



*Chicago bije wszelkie rekordy w walce z szerzącym się bandytyzmem. Specjalna centrala przy komendzie policji alarmowana jest przeciętnie do 1200 razy dziennie.*

*SUZANNA MALICKA.*

# TELEFON

I.

Pan porucznik Zbigniew Gniazdowski leży na tapczanie, pokrytym kilimem. Ręce założył pod głową, oczy utkwił w alabastrowej ampli, umieszczonej u sufitu. Cicho. Za oknem chlupie deszcz, huczy wiatr, szyby aż szczękają z zimna. W pokoju ciepło. Troszkę nudno. Pan porucznik ziewa. Och, bardzo nudno. Ale mimo to spać się nie chce. Telefon stoi na niskim stoliczku do palenia. Do kogoby tu zadzwonić?... No, nie, już pięć minut po dwunastej... Przecież do żadnego przyzwoitego domu o tej porze telefonować nie można. Chyba do któregoś z kolegów?... E, lepiej nie. Raz położymy się wcześnie spać... Porucznik powolutku zaczyna rozpinać kołnierz od mundura, gdy wtem...

Telefon. Długi, przenikliwy dzwonek. O tej porze?...

— Hallo?...

— Czy to ty, Zbyszku?... Tu Irka.

(Ach, u djaska, czyj to głos?... Porucznik nie zna przecież żadnej Irki!...)

— Tak, to ja....

— Z trudem cię poznałam. Ale tu deszcz tak wali w szyby, że ledwo słychać. Zbyszku?!...

— Słucham (pojęcia nie mam, kto to mówi!..)

— Wiesz, byłam teraz u Lidki, w Domu Akademickim, zagadałyśmy się, wyszłam, a tu już o tramwaju ani słuchu, ani duchu. I jak na złość, ani jednej taksówki. Dzwonię, z apteki, na rogu Uniwersyteckiej. — Wiatr taki, że aż głowy urywa... Mój złociutki Zbyszku, mam do ciebie prośbę — przyjedź po mnie tutaj, bo inaczej się do domu nie dostanę.

— Przepraszam panią — mówi porucznik Gniazdowski, troszkę już rozbawiony tą przygodą — ale kto mówi?

— Hallo, nic nie słychać!... Zbyszku, co mówisz? Nie poznajesz własnej narzeczonej?

— Łaskawa pani — mówi możliwie miękko Zbigniew — zdaje mi się, że to omyłka...

— Jakto? czy to nie 303-49? Mieszkanie pana Zbigniewa Ordęgi?

— Niestety, nie — 303-59. Nazywam się także, coprawda, Zbigniew...

— Och, bardzo pana przepraszam! I dowidzenia!...

— Nie, panno Ireno — energicznie protestuje porucznik — tak się nie pożegnamy. Dowiedziałem się przed chwilą, że pani jest aż na kolonji Lubeckiego, bez środków lokomocji, w czasie takiej okropnej pogody i nie wie pani, jak dostać się do miasta?

— Tak, ale pana to przecież nic a nic nie interesuje. Omyłka, i koniec!

Boże, jakie to małe musi być czupurne!... Ale że pan porucznik wie o tem, że ma bardzo, bardzo miły głos — więc odpowiednio go modulując, zaczyna mówić szeptem czarującym, niemal uwodzicielskim:

— Panno Ireno, proszę poczekać chwileczkę... jestem oficerem i uczono mnie, że nie wolno kobiety pozostawiać nigdy w niebezpieczeństwie... Pani jest teraz sama, o czem przypadkiem się dowiedziałem, i moim obowiązkiem, jako dżentelmena, jest pani pomóc w nieprzyjemnych warunkach, w jakich się pani teraz znalazła. Wobec tego za minutę zbiegam na dół, a za pięć minut będę w aptece na rogu Uniwersyteckiej i taksówką odwiozę panią tam, gdzie pani każe.

— A jakiej nagrody będzie pan za to żądał?

W nieznajomym głosie drży nutka filuterji.

— Tylko jednej, droga pani — odpowiada bez namysłu Zbigniew — obietnicy, że pani poprzestanie na mej propozycji, i że... pani już teraz nie zadzwoni do mego imiennika!

— A co dalej?...

— Och, jaka pani ostrożna! Zaręczam pani słowem honoru, że odwiozę panią natychmiast pod adres, przez panią wskazany, no, a dalszy przebieg znajomości zależy tylko od pani. Więc — zgoda? Czyż nie bawi pani wdzięk tej przygody?...

Po tamtej stronie aparatu — milczenie.

— Czekam na decyzję... Lecz lojalnie zwracam pani uwagę, że rozmawiamy już dziesięć minut przez telefon, i przecież robi się coraz później. Więc?...

Raczej szept — raczej wydech — niż cichutka odpowiedź:

— Zgoda...

— A zatem: dowidzenia!

II.

Pan porucznik Zbigniew Gniazdowski leży na tapczanie, pokrytym kilimem. Oczy utkwił w książce, ale nie czyta. Gorąco. Przez otwarte okna wpada nagrzane letnie powietrze. Z ulicy słychać szmery głosów, ludzie wyszli się odświeżyć po skwarnym męczącym dniu. Zegar bije dwunastą. Porucznik powolutku zaczyna zdejmować mundur, gdy wtem...

Telefon...

— Hallo?...

— To ty, Zbyszku?... Tu Irka.

— Irusieńka?...

— Tak, kochanie... wiesz, dlaczego dzwonię?

— Nawet się nie domyślam, ale w każdym razie to ładnie z twej strony...

— Bo wiesz, Zbyszku, właśnie przed chwilą spojrzałam na kalendarz, i obliczyłam sobie, że teraz akurat mija pół roku od chwili, jakeśmy się poznali — pamiętasz, w tej aptece?...

— Nieprawda, bo wtedy było już kwadrans po dwunastej — aha, złapałem cię na błędzie! I co powie profesor historji o twojej znajomości chronologji?...

— Najwyżej powie, że się nie znam na zegarze!... Co robisz, Zbyszku?

— Czekam znów na telefon jakiejś miłej panienki, która się pomyli w adresie i zamiast do swego narzeczonego, zadzwoni do mnie!...

— Fe, nie bądź brzydki! Wiesz, że jestem bardzo zazdrosna i nawet takich żartów nie toleruję. Przecież przez ten cały czas nie zdradziłeś mnie ani razu — prawda, Zbyszku?...

— Wiesz, co mówi Anatol France? „Les savants ne sont pas curieux"...

— A ja wcale nie chcę być sawantką i wolę być ciekawską... i co mi zrobisz?...

— Jak przyjdziesz, to się zemszczę!

— Jak?

— Na śmierć cię zacałuję!

— Kochasz mnie, Zbyszku?

— Przyjdź, to się dowiesz!

— A... będziesz mnie mógł odprowadzić z powrotem?

— Szczerze ci powiedzieć, Iruśka — nie przyrzekam.

— Dlaczego?

— Mówiłam ci, że za pewne wykroczenie dyscyplinarne mam dwudziestoczterogodzinny areszt domowy.

— No więc... przyjdę jutro!

— Ale ja wolałbym i jutro, i dzisiaj... Iruś, kochasz mnie?

— Do-bra-noc!...

— Nie przyjdziesz?... Fe, mały tchórzyk!

— O, uderzyłeś w mój słaby punkt! Przecież dobrze wiesz, że nie boję się niczego — ale mieszkamy z ciocią na takiem odludziu, że doprawdy przykro samej tak późno w nocy wracać... Gdybym chociaż broń miała!

— A ty umiesz strzelać, dzieciaku?

— Czy to taka sztuka?...

— A coby było, gdybym się zdecydował pożyczyć ci do jutra mego „bronka"?...

— Naprawdę, Zbyszku?... Ale ja cię uprzedzam: nie oddam!

— No, to jeszcze zobaczymy! Tymczasem — na czem staje?...

— W jakiej sprawie?

— Irek, proszę nie udawać! Ktoś szczerze za tobą stęskniony czeka i bardzo, bardzo chce, żebyś przyszła...





— To niegodne, co ty teraz robisz! Wiesz, że mnie rozbrajasz zawsze swym wdziękiem, i nie powinieneś stosować tej metody, skoro wiesz, jak bardzo jestem nieodporna.

— Fiu, fiu, panna cały referat wygłosiła! Szkoda czasu, Iruśka — czekam!...

— A rewolwerek dostanę?

— Dostaniesz, dostaniesz, tylko przychodź!

— No, to...

Pauza — po chwili: raczej szept, raczej wydech, niż cichutka odpowiedź:

— ...zgoda.

— Ireczko?

— Co?

— Tylko uważaj: cioci nie obudź!

III.

Pan porucznik Zbigniew Gniazdowski leży na tapczanie, pokrytym kilimem. Na stoliku płonie veilleuse, osłonięta różowym abażurem. W pokoju półmrok. Przez uchylone okno wpada chłodny wietrzyk jesiennego wieczoru. W obłokach dymu papierosowego pachnie rozpylona woń dobrych perfum. Ręka Zbigniewa gładzi namiętnie czyjeś czarne pukle, rozsypane po jego ramieniu.

Telefon...

— Zbyszku, ja przyjmę!...

— Molly, nie pozwalam!!!

Ale mimo energicznego protestu — smagła dłoń sięga po słuchawkę i przekorny głosik, z lekkim cudzoziemskim akcentem rzuca przeciągle:

— Hallooo!

Zbigniew z pasją wyrywa jej słuchawkę:

— Słucham.

— — — — — — — — — — — — — —

— Proszę! Słucham: kto?... milczy?...

Cichutki szept — raczej wydech, niż odpowiedź?

— To ja, Zbyszku...

— Irena?...

— Nie jesteś sam?...

Grymas zniecierpliwienia:

— Tak, nie jestem sam. Tylko proszę cię — moja droga: bez scen...

Pośpieszny, zawstydzony protest:

— Nie — przepraszam cię, że nie w porę... Tylko widzisz, chciałem ci coś powiedzieć... ale to i tak teraz nieważne...

— Proszę, mów! Słucham:

— Wiedziałam, że w końcu tak będzie... Ja przecież nie mam na ziemi nikogo... wszystko rzuciłam dla ciebie... i skoro ty mnie opuścisz...

— Ach, moja Irenko, takie rozmowy nie nadają się naprawdę do telefonu! Kiedyś spotkamy się i pomówimy spokojnie... Nie tak melodramatycznie.

Głos po tamtej stronie aparatu krzepnie, nabiera siły:

— Nie, Zbyszku, żadnych rozmów więcej. Wszystko, co mam ci do powiedzenia, powiem ci teraz... przeproś tę panią, że czeka... Otóż, na 19-ej stronicy książki, którą ci dziś posłałam — dziś, w drugą rocznicę naszego poznania, jest jedno zdanie... podkreślone...

— I to wszystko, co miałaś mi do powiedzenia?

— Ironja bardzo nie na miejscu. Owszem, mam ci do powiedzenia jeszcze jedno krótkie słowo — najkrótsze — może podług ciebie... „melodramatyczne". Słuchaj...

Pauza. Długa pauza. I nagle...

W telefonie huknął strzał.

— — — — — — — — — — — — — —

Na 19-ej stronicy podkreślone zdanie:

„Il faut aimer assez pour en vivre ou pour en mourir".

# Kłopoty najmłodszych redaktorów

*(— Nieszczęsny redaktor naczelny będzie musiał wysłuchiwać uroszczeń i rad swych wydawców, którzy mają wymagania. swego administratora, który ma obawy, swego sekretarza redakcji, który ma przesądy.*

*R. de Jouvenel „Dziennikarstwo").*

Żywot redaktora naczelnego jakiegokolwiek pisma, to pasmo udręk, niepowodzeń i rozczarowań. Wiemy o tem wszyscy. Ale nikt dotąd, zdaje się, płomiennem słowem nie odmalował, na ile niezasłużonych przykrości naraża się redaktor pisma, wychodzącego w szkole.

Bo pomijając już wieczyste kłopoty wszystkich redaktorów, np. poziomą sprawę „za co wydawać pismo?", redaktor pisma szkolnego obarczony jest tysiącem kłopotów, wynikających jeszcze z jego stanowiska kolegi-obywatela w społeczeństwie uczniowskiem. Choćby zbieranie materjału: koledzy-autorzy, to naród hardy, lubiący, „żeby się ich prosić", przytem nie umiejący „pisać na zamówienie", ani oddawać rękopisów w terminie oznaczonym. Dbały o poziom pisma redaktor nie może przyjmować materjału bez zastrzeżeń, a tu tymczasem odpalony autor lub jego przyjaciel może się zemścić w sposób wyrafinowany i odmówić nietylko dawno obiecanej marki Equadoru, ale i np. ściągaczki na klasówce, nie mówiąc już o dotkliwych argumentach, jakiemi chciałby może przekonać na pauzie nieszczęsnego redaktora o wartości swych wyczynów literackich. A spory z komitetem redakcyjnym? Kiedy np. postępowy redaktor dba o nowoczesny układ graficzny pisma, a komitet jest tak zacofany, że używanie małych liter uważa za nowinki futurystyczne, niegodne szanującego się pisma uczniowskiego?

A trudna sztuka utrzymanie redaktorskiego prestiżu, gdy najserdeczniejszy przyjaciel nie byłby sztubakiem, gdyby, korzystając z najmniejszej gaffy, złośliwej łatki nie przypiął!

I t. d., i t. d., długo możnaby ciągnąć litanję poświęceń młodych ofiar idei i swych ambicyj dziennikarskich, poświęceń, za które nierzadko nagrodą bywa bardzo brzydki stopień z przedmiotu, do którego w nawale zajęć p. t. redaktor nie zdążył się przygotować!

Potrzeba jednak wypowiedzenia się u młodego mężczyzny z 4—8-ej klasy jest tak silna, że przezwycięża wszelkie przeszkody i z zapałem oraz śmiertelną powagą na początku każdego roku szkolnego grono zapaleńców przystępuje do redagowania własnego pisma.

Redakcja „Lotu", dwutygodnika młodzieży z Nowego Sącza, w ten sposób zachęca do współpracy:

„Na start, Efebi!



*Witek Łapiński, najmłodszy współprac. „Życia Szkoły".*

Idziemy naprzód, pewni zwycięstwa. Rozpoczynamy z tym nowym rokiem szkolnym wyścig pracy i wytrwałości... Piszmy dowcipnie, poważnie, uczenie, z polotem i uczuciem, ale też z pełną świadomością, że za tę działalność gotowi jesteśmy wziąć odpowiedzialność przed wielkiem społeczeństwem uczniowskiem... Spróbujmy lotu na podniebnych szlakach, poznajmy siebie, swego ducha i swoją potęgę...

A więc dalej do biegu, do wyścigu w szlachetnych i zbożnych usiłowaniach, Efebi! Niechaj wieniec wawrzynu okryje wasze czoła, niech czyn nasz będzie Olimpjadą, próbą wytrzymałości waszej woli, waszego genjuszu narodowego i waszej solidarności rasowej

Dalej, na start!".

Wyobraźmy sobie teraz tych efebów z Nowego Sącza, którzy z palcami, powalanemi atramentem, w czapkach z daszkiem, oberwanym w gwałtownej dyskusji i butach o nosach niemiłosiernie zdartych od nielegalnego kopania piłki, startują do lotu na podniebnych szlakach, do lotu, który im samym ujawni ich potęgę!

Kto potrafi się oprzeć ich urokowi?

*A teraz poważnie:*

Zmieniło się życie w szkole w ciągu ostatnich powojennych lat. Nauka, udzielana rozumnie, przestała być utrapieniem, a nauczyciel wrogiem.

Wychowanie fizyczne, uprawiane równorzędnie z wykładami, skomplikowało życie szko o bogate przeżycia sportowe; oprócz drużyn harcerski i samorządów szkolnych czy klasowych, przy każd praw'e szkole istnieje mnóstwo kół i kółek specjalnyc krajoznawczych, fotograficznych, polonistycznych, hist rycznych, lotniczych, radjowych, ba! nawet szachowy rozwijających bardziej lub mniej ożywioną działalnoś

Zrozumiałe więc, że tak zorganizowane społeczeńst uczniowskie nie może się obejść bez tak ważnego czy nika, jakim jest własna prasa. Tembardziej, że wydaw nie pism uczniowskich jest przypieczętowane wieloletn tradycją. Niema prawie szkoły, gdzieby w pamięci sta szych uczniów nie błąkało się wspomnienie jakiegoś „byczego" pisma, a przynajmniej jednodniówki humorystycznej, z właściwą żakom spostrzegawczością i złośliwością, obrazującej życie szkoły. Rzadko to były jednak pisma regularne.

Wraz z przeobrażeniami wewnętrznemi szkoły musiały przyjść i zmiany w charakterze prasy uczniowskiej, niesłychanie obecnie bogatej, gdyż, jak mnie informowano, na terenie całej Rzplitej wychodzi (względnie) regularnie około 600 pism redagowanych przez młodzież szkolną. Cyfra ta jest tembardziej imponująca, że wielka ilość tych pisemek jest rzeczywiście zręcznie redagowana i odznacza się wysokim poziomem.

Dziewczęta są sentymentalniejsze od chłopców, mniej poważne i nie przyzwyczajone do zupełnie samodzielnego myślenia. Dlatego też w ich pismach, o tytułach mniej bohaterskich i światoburczych, niż pisma chłopaków, jak np. „Myśli popielatych mundurków", c też „Nasza szkoła", błąka się zawsze nutka prawdzi go czy fałszywego sentymentu, a miłość gorąca do p nauczycielek nie pozwala na przeciwstawienie swe zdania w sprawach szkolnych; tematy dotyczą przed wszystkiem bardzo oderwanych spraw „Obowiązk względem Ojczyzny", rodziny i t. d. Wogóle, co tu du mówić: są one strasznie miłe, ale trochę mazgajowa

*



*Komitet redakcyjny „Życia Szkoły", z redaktorem Ś cickim na czele. Pismo to jest wydawane przy gimn. im. Zamojskiego. Do młodocianego pokolenia przyłączyli b. wychowankowie gimnazjum im. gen. Chrzanowskiego, zrzeszeni w klubie „Unja", zamieszczaj na łamach „Życia Szkoły" swoje komunikaty.*

Jak wiadomo, najpoważniejszy i najbardziej „zasadniczy" stosunek do świata i życia ma się w wieku lat 18—20. Nic więc dziwnego, że w prasie uczniowskiej niema wcale humoru. Od artykułu wstępnego aż do kroniki z życia szkolnego, wszystko jest nieskończenie ważne, poważne i zabójczo uroczyste. Znajdą się wprawdzie ludzie, którzy właśnie tę powagę będą uważali za... Lecz, darujmy im, nigdy widać nie byli w szkole, albo też byli w złej.

A t. zw. humoreski z życia szkolnego? Tych humor jest tak lokalny i tak niezrozumiały dla nas, ludzi dorosłych, że dopiero, gdy przez pryzmat własnych wspomnień szkolnych, spoglądać będziemy na „szalone i niesłychane" przygody na wycieczkach, jak np. zmylenie pociągu lub zagubienie nauczyciela, odczuć będziemy mogli i smak takiego np. popularnego dowcipu:

*Uczeń do kolegi:* Jakie ty masz długie uszy!

*Kolega odpowiada:* Tak, do twojej głowy świetnieby pasowały.

Lub:

Na lekcji fizyki.

*Profesor:* — Jakie są własności ciepła?

*Uczeń:* — Ciepło rozszerza każde ciało, podczas, gdy zimno *ściąga*, np. w lecie dnie są długie, a w zimie krótkie.

Poświadczenie szkolne.

„Proszę usprawiedliwić nieobecność w szkole mojej córki w dniu.... ponieważ byłam z nią na zaprzyjaźnionym pogrzebie, a nie mogłam jej tej przyjemności odmówić".



*Linoryt J. K. Ko kiego (kl. Va), przedstawiający fragm ruin z Czerska, zdobi pismo, wydawan przy gimn. im. Reya.*

I pomyśleć, że tuziny uczniaków przez trzy tygodnie na wszystkich nudnych lekcjach takie kawały sobie opowiadają, zaśmiewując się do łez i doprowadzając do rozpaczy chorych na wątrobę profesorów, którzy nie umieją śmiać się razem z nimi — gdyż są na to zanadto dorośli.

*

Pisma uczniowskie bogate, subsydjowane przez koła b. wychowanków, drużyny harcerskie, czy szkoły, są drukowane, posiadają ilustracje, ba! nawet ogłoszenia.

Wśród takich pism uprzywilejowanych wymienić trzeba „Życie Szkoły" (gimn. im. Zamoyskiego), „Ognisko" (gimn. Mickiewicza) oraz „Ogniwa", organ „Uczniowskiej Rzeczypospolitej Bielańskiej", wydawany na Bielanach, w zakładzie OO. Marjanów. Z pism dziewczęcych wyróżnia się pismo, wydawane na pensji p. Plater, „Złote Ogniwa".

Pozostałe pisma, dokonywujące cudów, ażeby zebrać maleńką sumkę na wydanie pierwszego numeru (wiadomo, że dalej jakoś to będzie, może szkoła da, może Koło rodzicielskie, a wreszcie prenumeratorzy...), muszą się zadawalać odbijaniem na hektografie, a nawet—przepisywać ręcznie w kilku egzemplarzach.

Że jednak potrzeba jest matką wynalazków, więc też uczniowie, np. w gimnazjum państwowem w Dubnie, wymyślili nowy sposób wydawania gazetki tanim kosztem.

Oto każda klasa, na dużym formacie papieru rysunkowego, wypisywała artykuły, kronikę klasową, ozdabiała tę „gazetkę" rysunkami, karykaturami, winietami i przybijała na drzwiach klasy, które były żywym dziennikiem, ściągającym tłumy uczniów.

Pożytek z tego był podwójny: mniej trzaskano drzwiami, oraz starano się nawzajem prześcignąć w upiększaniu swych dzienników klasowych, oraz złośliwościach, dotyczących stron konkurencyjnych. Cieszyli się nauczyciele, kuratorjum okręgowe w Dzienniku Urzędowym instytucję tę pochwaliło i zaleciło jako przykład, godny naśladowania; ale idylla trwała krótko. Wiadomo, że sztubak ma dobre serce, ale nie lubi, jak inna klasa jest lepsza niż jego, więc zaczęto sobie nawzajem upiększać gazetki złośliwemi rysunkami. I „Gazetka ścienna" skończyła swój krótki żywot.



*Jan Kott, redaktor „Ogniska" (gimn. im. A. Mickiewicza).*

*

Istnieją tematy wieczyste ,które w prasie uczniowskiej będą aktualne, aż do skończenia świata. Są to odwieczne sprawy podpowiadania, ściągania, stosunku ucznia do nauczyciela, koleżeńskości i t. p. Zwyczaje szkoły, oparte na tradycji tyloletniej, nie dają się łatwo zmienić, nie pomogą tu bohaterskie wystąpienia ideowych samozaprzańców, którzy od czasu do czasu w płomiennych replikach wzywają kolegów do zerwania z „nieetycznem postępowaniem" i „krzywdzeniem słabszych w danym przedmiocie kolegów przez udzielanie im ściągaczek tudzież podpowiadanie".

Wiele atramentu wylano w tej sprawie, osobom zainteresowanym donoszę, że ostatecznie, po długiej dyskusji w dwuch najpoczytniejszych gazetkach szkolnych warszawskich, ustalono, że:

— Korzystanie z podpowiadania i ściąganie, są czynami nieetycznemi, natomiast odmówienie koledze ściągaczki na klasówce, jest czynem niekoleżeńskim i również godnym potępienia. — Oto sąd, godny Salomona.

Pozatem w prasie uczniowskiej, oczywiście, znajdują oddźwięk wszystkie ważniejsze wydarzenia, a więc rocznica powstania listopadowego, rocznica strajku szkolnego z przed lat 25-u, śmierć marszałka Joffre'a, rocznica Wrześni i t. d. Jeżeli chodzi o tematy literackie, to oprócz tematów typowo szkolnych, związanych z historją literatury, opracowywane są tematy zupełnie nowe, nie do pomyślenia w piśmie szkolnem z przed lat kilkunastu, jak np. drukowany ostatnio w „Ognisku" cykl artykułów redaktora tego pisma, p. Stanisława Kotta, p. t. „Futuryzm w poezji polskiej".

*Halszka B—ska.*



*Winieta ucznia St. Glewińskiego z pisma „Ogniwa".*



*Inna winieta, wykonana przez St. Glewińskiego.*




*JAN PIOTROWSKI.*

# OSTATNIA FALA

## 2. MOI WYDAWCY

A mówiłem, perswadowałem, ostrzegałem, że rozhukane i spienione, jak rumaki Posejdona, „Ostatnie Fale" nie uszczęśliwią „Siedmiu Dni"! I oto już wstępna „Fala" przyniosła na swym grzbiecie przykry błąd drukarski — mianowicie pośrodku drugiej szpalty w zdaniu: „Kochając, umiałbym przeskoczyć nawet przez *górę* własnego bohaterskiego nosa", zecer przepuścił słowo *„górę"*, korektor tego nie spostrzegł, redaktor nie zauważył przy rewizji numeru, a maszynista najspokojniej w świecie powtórzył w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy to szpetne zdanie, źle świadczące o studjach gramatycznych autora.

Co teraz robić? Chyba przypomnieć sobie na pociechę, że błędy drukarskie mają swoją prastarą tradycję — a pierwszy, znany historycznie, zdobi ostatnią kartę słynnego „Psałterza Moguckiego", na której zamiast *„psalmorum"* widnieje *„spaltorum"*. Gorzej jeszcze obeszli się przodkowie naszych zecerów z nieszczęsną *„Wicked Bible"*, przez opuszczenie przeczenia w szóstem przykazaniu, zachęcając tem samem czytelników do grzechu cudzołóstwa...

A może by jednak podać sprostowanie? Tak, ale czy zgodzą się na to P. T. Wydawcy?

Zdarzyło się pewnego razu, że do gabinetu „wydławcy" jakiegoś dziennika londyńskiego wpadł mocno zasapany i czerwony z oburzenia jegomość, rycząc od progu:

— Panie! To skandal, co napisaliście o mnie w waszej szmacie! Żądam natychmiastowego odwołania!

— Odwołania? Pan chyba oszalał... Dziennik nasz podaje tylko najświeższe i najpewniejsze informacje, zatem...

— Co nieprzeszkadza, że wydrukowaliście dziś na pierwszej stronie, jakoby Mr. Robert Smith został skazany na śmierć i wczoraj rano powieszony przez kata.

— Tak jest. Wydrukowaliśmy.

— A przecież wszystko to nie prawda! Jestem Robertem Smith, nigdy nie byłem skazany ani powieszony, wogóle nawet nie stawałem przed sądem! Co pan na to?

— Ja? Nic. Przykra pomyłka... Ale sprostowania nie umieszczę, bo nie mogę podrywać zaufania do naszego pisma. Natomiast zaproponuję panu innego rodzaju satysfakcję. Podamy w jutrzejszym numerze, że, jak się dowiadujemy w ostatniej chwili, podczas pańskiej egzekucji stryczek urwał się, wobec czego został pan ułaskawiony...

— Ależ...

— Chwileczka cierpliwości! Ten cudowny stryczek wisielca, który przyniósł panu szczęście, puścimy na loterję, po dwa szylingi za los. Nakład nasz wynosi zgórą sto tysięcy, więc jeżeli bodaj połowa czytelników połknie ten haczyk, otrzyma pan królewskie odszkodowanie, gdyż podzielę się z panem zyskami do połowy...

Wydawcy dzielą się na cztery kategorje: na porządnych, solidnych i miłych, którzy drukują moje feljetony, na wytrawnych, na słodkich i na wydawców, którzy lubią teatr i prowadzą życie wytworne.

Ponieważ „szczęśliwe narody nie mają historji", pominiemy moich obecnych wydawców pełnem szacunku milczeniem. Co się tyczy „wydławcy wytrawnego", to nazywa się on tak dlatego, że słyszy, jak w trawie piszczy jakieś ogłoszenie, które gotów wydostać nawet z pod ziemi. „Wydławca słodki" to taki pan, który ze słodkim uśmiechem na ustach potrafi przez pół roku codziennie zapewniać, że „jutro" napewno wypłaci zaległe honorarjum.

Ale najgorszy z nich wszystkich to „wydławca wytworny".

Ma on zazwyczaj za sobą ukończone cztery klasy gimnazjalne, krótkotrwałą, lecz pełną burzliwych incydentów, karjerę ajenta ogłoszeniowego, oraz romansik z chórzystką lub girlsą, której trafił do przekonania nietyle królewskiem, ile króliczem futerkiem, wziętem na rachunek „kampanji reklamowej". Przed sobą: siedemnaście różnych projektów wydawnictw dochodowych, sto niezawodnych recept na nabicie w butelkę drukarza, dostawcy papieru i cynkografa, oraz pomniejszych rybek autorskich.

I oto dnia pewnego, w „wytwornym" lokalu nowego wydawnictwa schodzą się jakieś chude, źle odkarmiane i jeszcze gorzej odziane postacie.

„Kasa otwarta we środy" — oznajmia zachęcająco i uspokajająco napis, wytwornie wykaligrafowany. Opodal — głucho zatrzaśnięte drzwi, prowadzące do gabinetu „wytwornego wydławcy". A na tych drzwiach, jak Cerber, wyszczerza zęby drugi napis, podkreślony światłem czerwonej żarówki:

*„W czasie konferencji wejście wzbronione!"*

— Wydawca ma konferencję... — szepcą z szacunkiem czyjeś usta.

— Ma konferencję...

— Konferencję...

— ...encję...

Więc, westchnąwszy z rezygnacją, dziatwa Apollina i Muz siada półgębkiem na wytwornych krzesłach i czeka, czeka, czeka...

Czeka godzinę, dwie, trzy ,cztery.

Czeka miesiąc.

Czeka pół roku, czasem nawet więcej.

Lecz, ponieważ nigdy nie gaśnie magiczna czerwona żarówka nad drzwiami „wytwornego wydławcy", gaśnie wkońcu nadzieja i cierpliwość w rozgoryczonych sercach autorów — i pewnego fatalnego piątku czy poniedziałku sekretarze stołecznych Sądów Pracy klną w żywy kamień nawał spraw...

Opowiadał mi jakiś cichy manjak, jakoby wśród wydawców miała istnieć również piąta kategorja: takich, którzy dają zaliczki.

Nie z jednego pieca chleb jadłem, byłem na wozie i pod wozem, zjeździłem wzdłuż i wszerz pół Europy — ale takiego fenomena dotąd jeszcze nie spotkałem. Natomiast wszyscy, bez wyjątku, wydawcy, angażując mnie do swego pisma, mrugali na mnie znacząco i z poczciwym uśmieszkiem zapewniali:

— Gażę, wprawdzie, będzie pan miał niską, ale to tylko na początek. Niech pan tylko stanie na głowie, aby rozwinąć nasze wydawnictwo, a wtedy... Wogóle, podwyżka murowana, jeżeli będziemy z pana zadowoleni!

Stawałem na głowie czasem po szesnaście i więcej godzin na dobę, i to przez długie miesiące — o podwyżce ani be, ani me, ani dudu. Razu pewnego nie wytrzymałem i znalazłszy się przed obliczem szlachetnego wydławcy, wypaliłem:

— Przypominam panu sprawę mej podwyżki.

Nakład potroiliśmy, a obiecywał pan, że gdy pan będzie ze mnie zadowolony...

— Ale ja nie jestem z pana zadowolony.

Zdębiałem.

— Czemuż to?

— Bo pan prosi o podwyżkę.

Inny wydławca, którego przez całe dwa lata praktykowałem na swej literackiej skórze, był też człowiekiem niewzruszonych zasad. Płacił tylko w ostateczności. Jeden z moich kolegów redakcyjnych wpadł jednak na pyszny pomysł, dzięki któremu wydobywał zeń swe zaległe gaże bez narażenia się na groźny zarzut „nieprawomyślności". W dniu teoretycznych wypłat stale pojawiała się w lokalu wydawnictwa energiczna żona mego kolegi i robiła mu najstraszliwszą awanturę, żądając pieniędzy. Nie pomagały żadne tłomaczenia, że z pustego sam Salomon nie naleje — energiczna niewiasta rozsiadała się w fotelu, tuż obok drzwi, prowadzących do gabinetu wydławcy i poczynała tak sprawnie i tak głęboko mleć językiem, aż nieszczęsny wydławca, aby nie oszaleć, płacił, zgrzytając zębami.

Tak to, kochani czytelnicy, gdzie autor nie może, tam swoją babę pośle... Co nie przeszkadza, że ów wydawca był spryciarzem nielada. Gdy np. po niezliczonej ilości obietnic, zwłok, słów honoru i t. p. trafił wreszcie na zdecydowanego franta, który poprzysiągł, że nie opuści lokalu bez pieniędzy, wzdychał smutnie i żałośnie, poczem sięgał do jednej ze swych kieszeni. W lewej kieszeni marynarki nosił stale dwa banknoty pięćsetzłotowe. W prawej — dwie stuzłotówki. W kieszeniach od kamizelki porozmieszczał pięćdziesiątki i dwudziestki, a w spodniach — srebro, nikiel, miedź. Zależnie od wysokości pretensji wierzyciela i od stopnia jego rozjuszenia zwracał się do odpowiedniej kieszeni (a nigdy się nie mylił!), wyciągał z niej dwa banknoty, wznosił oczy w górę i szeptał:

— Niebo mi świadkiem, że to wszystko, co posiadam. Ale wchodzę w pańskie położenie i podzielę się z panem... po bratersku!

Tak, kochani Czytelnicy! Wydawcy (o obecnych się nie mówi!) to straszny naród. Dziwnem się też wydać może, skąd w takich warunkach bierze się w Warszawie tylu redaktorów. Co drugi gość w kawiarni — to „redaktor". Spytałem niedawno jednego z nich, jakie pismo redaguje.

— Takie tam — odparł wymijająco — w każdym razie żyję z pióra.

— Ż y j e pan?! Coś nieprawdopodobnego! I cóż pan pisze?

— Listy do ojca z prośbą o pieniądze.

Zanim po tej nieoczekiwanej odpowiedzi ochłoniecie ze zdumienia, pożegnam Was, kochani Czytelnicy, obyczajnem i obyczajowem:

— Do widzenia w następnym numerze „Siedmiu Dni"!.

# Impresje teatralne

*Teatr Polski: „Lekarz na rozdrożu" Bernarda Shawa.*

Mija już ćwierćwiecze od premjery owego „The doctor's dilemma", a jednak słucha się jej dziś jeszcze z niemniejszem, niż dawniej, zaciekawieniem, ponieważ poruszane w niej problematy bynajmniej nie straciły na aktualności. Muszą, zresztą, być odwieczne, skoro już nawet Moljer drwił niemiłosiernie z uczniów Eskulapa, niemniej dowcipnie zaś pokpiwał z nich jego rodak Jules Romains w granym już u nas „Dr. Knocku". Satyra na stan lekarski przeprowadzona jest z pasją, popartą dużą znajomością rzeczy, natomiast charaktery chorego i lekkomyślnego artysty oraz jego ukochanej są dość niewyraźne i raczej szkicowo potraktowane, ale bo też są tylko przedmiotami, nie podmiotami akcji. Pomimo 5 aktów, słucha się sztuki z niesłabnącem zaciekawieniem.

I znów nasuwa się refleksja, jak dalece nieprzemijająca jest wartość utworów ludzi genjalnych, a do takich bezsprzecznie zaliczyć wypada G. B. Shawa. Jest on zarazem śmiałym prekursorem swoich współczesnych, człowiekiem wyprzedzającym szerokie masy o długie lata jasnowidztwem i trzeźwością swych poglądów. Za czasów biblijnych uznanoby go za proroka, dziś — niech mu wystarczy wielki rozgłos i uznanie, z którem zawsze przyjmuje jego sztuki publiczność teatralna wogóle, a polska w szczególe.

Przyczynia się do tego niemało znakomita gra całego zespołu teatru Polskiego. W roli tytułowej doskonały jest Samborski, ale również i inni aktorzy, grający lekarzy: Stanisławski, Dominiak, Bogusiński, Łapiński i Karbowski stwarzają dosadne sylwetki charakterystyczne. Kamińska i Daczyński, jak zwykle, sumienni i zupełnie na miejscu. W epizodzie wyróżniła się Munclingrowa i utalentowana młodzież aktorska w osobach Tarnowiczówny i Karczewskiego. Słowem, spektakl ze wszech miar godny ujrzenia, pięknie wystawiony i starannie wyreżyserowany.

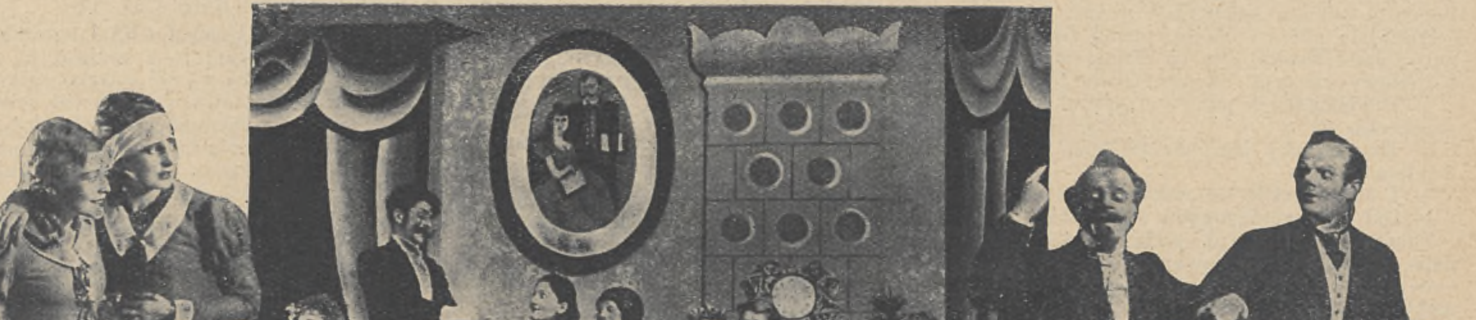
*Teatr Ateneum: „Dom otwarty" Michała Bałuckiego.*

Pamiętam tę sztukę już z wielu przedstawień. Najbardziej mi utkwiły w pamięci dwie inscenizacje: jedna w Teatrze Polskim, gdzie niezrównanym Fikalskim był Jerzy Leszczyński, a w roli starego Ciuciumkiewicza bodaj czy nie debiutował Maszyński, i druga w „Reducie" po całym roku prób, ze szczegółowem „przeżywaniem". Zapamiętałem te dwie właśnie inscenizacje, bo były nieszablonowe, interesujące w koncepcji i w przeprowadzeniu jej. Do tych dwóch przyłączy się teraz bardzo ciekawie ujęta idea reżyserska Perzanowskiej w teatrze „Ateneum". Perzanowska była dawniej w „Reducie", lecz reminiscencje te nie zaciążyły na jej pracy. Dała coś zupełnie nowego i wielce celowego w swej groteskowości. Charakteryzacja i kostjumy były ściśle oparte na wzorach Kostrzewskiego (stąd nosy Fikalskiego i Wróbelkowskiego, które niektórych raziły). Oprawa dekoracyjno-kostjumowa J. Zaruby — bardzo pomysłowa i artystyczna.

Grali wszyscy świetnie. Każdy zosobna i — co ważniejsza — wszyscy razem. Koniec II aktu był swego rodzaju majstersztykiem. Trzebaby chyba cały afisz przepisywać... Bo to i Mazarekówna przypomniała się stolicy jak najkorzystniej, i Poreda był dobrym Fikalskim, i Zawistowski (bardzo zdolny artysta) — pysznym Wróbelkowskim, i Krell wyróżnił się, jako Bagatelka, i Szletyński, a Żeleński odniósł pierwszy doprawdy wielki tryumf artystyczny, stwarzając niezapomnianą sylwetkę Fujarkiewicza, „skończonego farmaceuty z Mościsk". Ale, ale, przecież i Dziewoński był dobry, i Dullanka ładna, a Buczyńska mieniła się tysiącem kolorów i kolorków satyrycznych; przepyszna była Mierzejewska, jak zresztą i jej „siostry", wreszcie, dobry — Larewicz. Wogóle — wszyscy!

*Henryk Liński.*





*„Dom otwarty" Bałuckiego — nowy tryumf teatru „Ateneum". Na lewo pp. Mazarekówna i Dullanka, na prawo pp. Daniłowicz i Poreda, a w środku pp. Buczyńska i Janecka z pyszną „fornalką".* *(fot. Brzozowski).*

*J. S. FLETCHER.* 4)

# MORDERSTWO NA OGRODOWEJ

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

*Do młodego adwokata, Shelmore'a, zamieszkałego w miasteczku Southemstowe, zgłasza się młoda panna, Cyntja Gretty, z tem, że opiekun jej, pan Deane, zniknął nagle z hotelu, w którym miał na nią oczekiwać. Adwokat i Cyntja udają się do hotelu, by zbadać sytuację na miejscu. Wzywają inspektora Mellaponta, który, po śledztwie wśród służby, powierza sprawę swemu najzdolniejszemu detektywowi, Johnowi Hackdale.*

— Panu mówić nie mam zamiaru — odparł Bartlett, akcentując specjalnie słowo „panu". Pan jeszcze za młody i nie potrafi pan zachować tajemnicy. Nie jestem głupcem, panie Hackdale. Widzi pan, w poniedziałek wieczorem przechodziłem tędy i widziałem kogoś. Mniejsza o to, kogo. A potem, gdy koło północy wszedłem do Północnego baru, spotkałem tam jakiegoś obcego jegomościa. Był wysoki, szczupły, z siwą brodą i dardzo dostatnio ubrany. Zauważyłem to z pierwszego rzutu oka. Zatrzymał mnie na chwilę, chcąc się o coś dowiedzieć. No i cóż, panie Hackdale?"

— Czego się chciał dowiedzieć? — zapytał Hackdale, wyczuwając mimowoli, że Bartlett musiał mieć jakieś ważne wiadomości, które mogłyby się przyczynić do wyświetlenia sprawy.

Bartlett poklepał detektywa po ramieniu i począł mówić prawie szeptem.

— Chciał się dowiedzieć gdzie się znajduje posiadłość pani Champernowne — odparł. Poprostu pytał o Ashenhurst House.

Hackdale milczał. Bezwątpienia Bartlett mówił o panu Deane. Ale co Deane mógł chcieć o północy od pani Champernowne?

— Powiedział mu pan? — zapytał nagle wywiadowca.

— Dlaczegóżby nie? Oczywiście, że powiedziałem.

— I czy poszedł we wskazanym kierunku?

— Dał mi pięć szylingów i poszedł.

Znowu zaległa cisza, podczas której Hackdale rozmyślał nad słowami nędzarza.

— Mam wrażenie, że to właśnie był ten jegomość, panie Hackdale, — odezwał się po chwili Bartlett. — Poszedł tedy, w stronę domu pani Champernowne i więcej nie wrócił! Dziwna historja!

Hackdale rozejrzał się wkoło. Na pustej ulicy nie było nikogo, ktoby mógł słyszeć ich rozmowę. Po chwili wahania położył dłoń na ramieniu Bartletta.

— Czy wspomniał pan komuś o tem? — zapytał. — Nie, nikomu? Niech pan dalej nic nie mówi! Jest pewnego rodzaju tajemnica i nie należy mieszać w nią nazwiska pani Champernowne. Zachowaj pan to przy sobie, panie Bartlett, do następnego naszego widzenia. Ma pan...

To mówiąc, wyjął z kieszeni kilka drobnych monet i wsunął je w otwartą dłoń Bartletta. W tej samej chwili Bartlett lewą ręką chwycił detektywa za ramię.

— Moje słowo jest święte, panie Hackdale! — wyszeptał. — Jestem do pańskiej dyspozycji, sir! Ani słóweczka nikomu nie pisnę...

Odwrócił się na pięcie i zniknął w mrocznej uliczce. Hackdale przez chwilę spoglądał za nim i wreszcie wolnym krokiem począł iść przed siebie. Zaskoczyło go to, co usłyszał przed chwilą. Co to wszystko miało znaczyć? Znajdował się teraz tuż przy Ashenhurst House, spoglądał w oświetlone okna, zastanawiając się nad tem, czy ktośkolwiek, znajdujący się teraz w tym domu wiedział coś o całej tej aferze?

Minął bramę wjazdową i skierował się na wąską ścieżkę, która łączyła plac tennisowy z owocowym ogrodem. Codziennym prawie zwyczajem skierował się na piaszczystą rozległą polanę, porośniętą gdzieniegdzie wątłemi krzaczkami i zeschniętą murawą. Przez polanę tę prowadziła najkrótsza droga do drugiej części rejonu, pozostającego również pod opieką Hackdale. Tej nocy jednak Hackdale nie poszedł już dalej, bo usłyszał nagle ciche skomlenie swego dobermana, które po pewnej chwili przeistoczyło się w zawodzące wycie. Zbliżywszy się do miejsca skąd wycie dochodziło, Hackdale ujrzał nagle martwe ciało jakiegoś mężczyzny...

ROZDZIAŁ IV.

*TAJEMNICZA AGRAFKA.*

Hackdale był człowiekiem naogół zrównoważonym, to też, gdy pierwsze wrażenie minęło, spokojnie zastanowił się nad sytuacją. Nie wątpił, że zwłoki, leżące u jego nóg, były zwłokami człowieka który w tajemniczy sposób zniknął z hotelu Chancellor. Nie ulegało też wątpliwości, że człowiek ten został zamordowany. Hackdalowi przemknęło przez myśl, że trup leżał w odległości stu yardów zaledwie od Ashenhurst House, rezydencji pani Champernowne, przy samym końcu ulicy Ogrodowej.

Ponieważ trudno było w mroku rozpoznać twarz zmarłego, Hackdale dobył z kieszeni małą elektryczną latarkę i, łagodnym ruchem odsunąwszy swego dobermana, który stał tuż nad zwłokami, skierował snop światła na trupa. Na suchym białym piasku widniały ślady krwi. Przyjrzawszy się uważniej, Hackdale skonstatował, że zmarły został postrzelony w głowę, nad uchem bowiem widniała niewielka rana od kuli rewolwerowej. Ale nie był to, oczywiście, wypadek samobójstwa, gdyż nigdzie w pobliżu nie było żadnej broni.

Hackdale podniósł się z kolan. Co wieczór prawie tędy przechodził, a nic podejrzanego nie był zauważył. Ale że nie miał ze sobą ostatnio swego dobermana, przeszedłby i dzisiejszej nocy obok tego miejsca, niczego się nie domyślając, gdyby nie węch czujnego psa. Zachodziło tylko pytanie czy ofiara została zamordowana w tem właśnie miejscu, czy też zwłoki zostały tutaj przeniesione. Hackdale począł badawczo przyglądać się śladom krwi na ziemi. Piasczysta polanka porośnięta była tu pożółkłą trawą, trudno więc było rozeznać ślady czyichkolwiek stóp. Hackdale nie zauważył również, aby trawa w pobliżu zwłok była zmięta, a jednak musiało przejść tędy dwóch bodaj ludzi — morderca i zamordowany. Kim jednakże był morderca?

Hackdale pochylił się znowu nad trupem i jeszcze raz skierował nań światło swej latarki. Tak nie ulegało wątpliwości, że był to zaginiony Deane. Duży, szczupły, z siwą brodą w garniturze z bronzowego tweedu odpowiadał w pełni opisowi panny Pretty. Twarz jego była zanurzona w piasku, tak, że trudno było przyjrzeć się jej dokładnie. Hackdale nie chciał jednak ruszać zwłok do chwili przybycia policji. Musiał poprzestać na powierzchownem obejrzeniu ciała. Nagle — drgnął. Ponad prawą kieszenią bronzowej marynarki była przypięta agrafka. Z ust Hackdala wyrwał się mimowolny okrzyk:

— Wielki Boże! Cóż to?

Szybkim ruchem odpiął agrafkę z marynarki trupa, obejrzał ją i schował do swej portmonetki. Potem zgasił latarkę, przywołał dobermana i skierował się w stronę ścieżki, którą był przyszedł. Ale znów zaczął drżeć na całem ciele. Przypomniawszy sobie, że zabrał z domu buteleczkę whisky, łyknął raz i drugi, uśmiechnął się i pewnym krokiem poszedł w kierunku Ashenhurst House.

Willa pani Champernowne stała na małem wzgórzu. Była tak obszerna, że mogła pomieścić najliczniejszą nawet rodzinę. Hackdale niejednokrotnie myślał o tem, że rezydencja ta była zbyt obszerna dla samotnej kobiety, jej brata i służby, złożonej z sześciu osób. Ale pani Champernowne była niewiastą zamożną i mogła sobie na takie zbytki pozwolić. Pokoje willi były zresztą luksusowo umeblowane. Gdy Hackdale stanął u podjazdu pałacyku i spojrzał w oświetlone okna, uderzył go kontrast, jaki ten zbytek stanowił, z opuszczoną piaczystą polaną, gdzie leżał trup. Tutaj było widno i ciepło, a w odległości stu yardów zaledwie panowała śmierć... Czy rezydencja pani Champernowne miała jakiś związek z tajemnicą polany?

Zadumę jego przerwało otwarcie drzwi wejściowych. Zgrabna pokojówka w białym fartuszku i kokieteryjnym czepeczku uśmiechała się doń zachęcająco. Hackdale ukłonił się jej grzecznie.

— Dobry wieczór, Jennie, — rzekł, zdziwiony zresztą własnym spokojem. — Czy pani Champernowne jest w domu?

Pokojówka zbliżyła się doń poufale.

(D. c. n.)

*JERZY LEWESTAM.*

# PSI WYWIAD

— Au, au, au... auau.. au!!!

— Nie wszyscy razem, proszę państwa, w ten sposób nie dogadamy się nigdy...

— To szczenięta — przerywa mi komisarz Jurkowski — z niemi wogóle szkoda gadać. Tych dopiero weźmiemy na muszkę. Mają pójść na kurs. Zaprowadzę pana lepiej do naszych dyplomantów. Będzie pan miał do czynienia z psem gentlemanem od nosa aż do końca ogona. Taki pies jest świadom swego znaczenia, wie, jaki jest i co umie. Przypuszczam, że pan będzie miał z niego więcej pociechy.

— Tak, jest, panie komisarzu, chociaż i ci panowie...

— To nie żadni panowie, zwyczajne szczenięta — poprawia raz jeszcze komisarz — chodź pan ze mną.

Mijamy rząd klatek, w których psia młodzież, Szkoły tresury psów granicznych, ćwiczy swe gardziołka w tenorowem i basowem szczekaniu.

Dochodzimy wreszcie do następnego rzędu klatek. Komisarz Jurkowski otwiera jedną z nich.

— Dolly, proszę. Ten pan jest dziennikarzem. Pragnie kropnąć wywiadzik o waszem psiem wychowaniu. Bądź tak dobry, Dolly, i poświęć mu parę minut czasu.

Wielki, cudowny, szary wilk wychodzi z godnością z klatki. Macha uprzejmie ogonem na powitanie.

Uchylam grzecznie kapelusza.

— Czy nie byłby pan tak łaskaw, panie Dolly, powiedzieć mi coś niecoś o waszej szkole?

— Hau! Owszem—odwarkuje Dolly.

Wyjmuję notes. Wilk ma jakiś skupiony wyraz na swem szlachetnem obliczu. Coś sobie rozważa. Zastanawia się chwilę. Wreszcie podchodzi do mnie i obwąchuje starannie.

— Tysiąc razy przepraszam za ten nieco mało towarzyski sposób bycia, ale pyta mnie pan o sprawy służbowe. W takim wypadku zawsze muszę wiedzieć dokładnie, z kim mam przyjemność. Merci, już dobrze.

Dolly siada, oblizuje się swym wielkim, czerwonym językiem i błyska ku mnie bielą wspania-
Możemy zaczynać.
łych, lśniących kłów.

— Nie będę mówił o swem dzieciństwie. Przyszedłem na świat, jak inne psy — w pełnem poczuciu swej odrębności rasowej i wyższości nad człowiekiem. Pamiętam, jak za młodu nigdy nie przypuszczałem, aby porządny pies mógł brać człowieka na serjo, a tembardziej współpracować z nim w jakiejś poważnej i użytecznej pracy.

*(Dokończenie na str. 232)*



*Raport.*



*Grupa ulubieńców wraz z trenerami.*



*Komisarz Marjan Jurkowski, kierownik zakładu tresury psów.*



*Interlokutor, który udzielił wywiadu.*

# POTĘGA REKLAMY

Powiadają, że Ameryka jest ojczyzną reklamy i humbugu. Możliwe. Ale jest jeszcze jeden kraj, który pod tym względem z pewnością jej dorównać może. Kraj, gdzie wprawdzie niema rzeczy „greatest in the world", ale zato blaga reklamowa dochodzi do iście fantastycznych rozmiarów.

W kraju tym, jeśli się pisze, że czas jazdy pociągów między stolicą a jednem z miast prowincjonalnych zostanie skrócony z siedmiu na pięć godzin, to można być pewnym, że w rzeczywistości skrócenie to wyniesie maksymalnie kwadrans. O ile, oczywiście, w międzyczasie nie zostanie odwołane.

W kraju tym, gdy ci piszą, że „Panna Fifka" — romans obyczajowy z życia pensjonarek, z autografem i autobiografją w tekście, samej autorki, rozszedł się w 100.000 egzemplarzy, to możesz być pewien, że „rekordman księgarski", pan Goldfinger na Świętokrzyskiej, sprzedał ich akurat 30, księgarnie inne po 5—6, a ogółem nie rozeszło się nawet dwóch tysięcy.

W kraju tym, jeśli to czy inne uzdrowisko ogłasza, że ceny na sezon zimowy zniżone, to przyjechawszy skonstatujesz, że chcą z ciebie złupić skórę. A na twoje skromne pytanie odpowiedzą, że przecież zima, opał, sporty, ciężkie czasy i znajdą sto pięćdziesiąt pretekstów, aby reklamowana zniżka była conajmniej o 30% wyższa od cen zeszłorocznych.

W kraju tym, co tydzień powstaje nowe pismo, podające w swym prospekcie, że będzie „szeroko uwzględniało interesy czytelników, podawało najświeższe wiadomości od własnych korespondentów we wszystkich stolicach świata, drukowało powieść znanego laureata Nobla, i t. d., i t. d.". W rezultacie korespondencje ze stolic zagranicznych pisują wygłodniali literaci, przy stoliku całkiem krajowej kawiarenki, zwanej „Małą Ziemiańską" i to po 10 groszy od wiersza. Zamiast laureata Nobla drukuje się „nieznanego autora", kryminalny odcinek („Duchy Powiśla"). A co do interesów czytelników, to owszem... Po miesiącu pismo przestaje wychodzić, a ci, co popłacili prenumeratę za kwartał „peuvent courir".

W kraju tym powstają różne banki, prowadzące „interesy", wobec których bledną poczynania rycerzy przemysłu z nad Hudsonu i Michiganu. Zakładają się konsorcja do osuszenia bagien, fabryki papier maché, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, których kapitał wynosi pięć dolarów, a passywa idą w setki tysięcy.

Don Kichot swego chabeta nazywał rumakiem, a marsylczyk Marius wyolbrzymiał sardynkę do wieloryba. Nic to jednak wobec superlatyw w owym kraju. Tam miasteczko, znane z brudu, nazywają „naszem Sorrento", trochę ohydnej lury na dnie szklanki — czarną kawą, podmiejską mordownię — luksusową restauracją, salę tańca, gdzie pełen ognia Aron Gelbfisz tańczy z fertyczną panną Lonią Lenoir (ona-że Leokadja Wyciorek), — towarzyskim dancingiem, skleconą na prędce, pełną przeciągów, budę — dworcem autobusowym, film, w którym publiczność ziewa w ciągu trzech aktów, a przy czwartym wychodzi — superszlagierem, dworek, tonący w błocie — „małym Wersalem", a studio na przedmieściu — „krajowem Hollywood".

Niejeden temat do noweli znalazłby w tym rozkosznym kraju humorysta miary Marka Twaina. Niejednego mógłby się nauczyć „reklamiarz" z Nowego Lądu. Niejednego też uczą się uczciwi obywatele tego kraju (tacy podobno jeszcze istnieją)... na własnej skórze. I jak dotąd, nauczyć się nie mogą.

Eppur si muove.. Jak jeszcze... *Jimmy.*



*OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ LEON CHEJFEC*

## PSI WYWIAD

*(Dokończenie ze str. 231)*

Dziś zmieniło się wszystko. Zrobiło to życie i szkoła. Ludzie nie są tak głupi, na jakich wyglądają, a niektórzy z nich są mili i dobrzy, a z tymi pies-gentleman może bez uchybiania swej godności zawrzeć prawdziwy sojusz i przyjaźń. Jestem, jak panu wiadomo, wychowankiem Szkoły tresury psów granicznych przy Centralnej Szkole Straży Granicznej.

Słowo „tresura" jest używane dla wytłómaczenia tłumom podkładowego czynnika naszego wychowania, „karności" i poczucia posłuszeństwa. Właściwa nazwa szkoły brzmi: Państwowa Akademja Rasowych Psów Strażniczych. Tak przynajmniej nazywają szkołę naszą w kołach psiego high-life'u. Nasza polska szkoła jest doskonała. Oparto ją zasadniczo na systemie niemca Gersbacha, z pewnemi jednak odchyleniami. Niemieckie psy np. atakują wroga, rzucając mu się do gardła. My chwytamy za prawą rękę, ale to są już szczegóły, któremi nie chcę panu zaprzątać głowy.

Między słuchaczem a wykładowcą musi istnieć nić sympatji, zrozumienia i karności. Do każdego z nas przydzielają specjalnego przewodnika, zwykle podoficera, który wyłącznie zajmuje się swoim pupilem. Posłuszeństwo zdobywa się sympatją. Kary są raczej moralne. Jeśli słuchacz nie wykona rozkazu przewodnika, ten przemawia do niego z wyrzutem i niezadowoleniem, czem pobudza ambicję. Dla nas, psów, brzmienie głosu ma ogromne znaczenie i mamy wysoko rozwiniętą ambicję (co, jak twierdzą złośliwi, nie można, niestety, powiedzieć o wszystkich ludziach), to też kara „wyrzutu", jest stokroć groźniejsza od bata.

Drugim etapem nauki jest „danie nam wiatru", t. j. węchowa nauka rozróżniania i odnajdywania przedmiotów.

Trzecim — aportowanie.

Następnemi — praca przy figurze, obrona, pościg, reakcja na strzał, ochrona przedmiotów, nie przyjmowanie pokarmów i t. d.

Nie tylko spełniamy rozkazy, ale rozumiemy je dobrze.

— Panie Dolly — przerywam — przepraszam za niedyskrecję i niedelikatność pytania. Czy bat nigdy nie jest metodą wychowawczą w waszej szkole?

Mój uprzejmy rozmówca machnął energicznie ogonem.

— Jako metoda — nigdy. W zasadzie psa bić nie wolno, gdyż popsułoby to wzajemny stosunek przewodnika do wychowanka. Bicie jest używane w ostateczności, przy nieporozumieniach wychowanków między sobą, kończących się gryzieniem i walką, ale to zdarza się stosunkowo b. rzadko.

— Czy będzie pan łaskaw opowiedzieć mi jakiś swój wyczyn, gdyż pan komendant szkoły mówił mi wiele dobrego o panu.

Dolly jest najwidoczniej zażenowany i zapominając na chwilę o poprawnych formach dobrego wychowania, drapie się tylną łapą za prawem uchem.

— „Wyczyn", to za mocno powiedziane. Opowiem o mym pierwszym triumfie. Jesteśmy zasadniczo przeznaczeni do bronienia granic Rzeczypospolitej przed przemytnikami, wywrotowcami i inną ludzką hołotą. Tym razem rozchodziło się o zwykłe złodziejstwo. Popełniono włamanie. Policja była bezsilna. Działo się to na wsi, w mieszkaniu pewnego doktora. Wyłamano okiennicę i skradziono biżuterję za kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Policja zwróciła się do nas. Zgodziliśmy się. Nie było nic prostszego. Obwąchałem okiennicę i szedłem prosto, jak po drucie, aż do parkanu. Tu zacząłem kopać. Zapach był niezawodny. Odnalazłem klejnoty, zakopane w ziemi. Złodziejką okazała się kucharka, która przyznała się z płaczem w chwili, gdy się miałem na nią rzucić.

Wypadek drobny, który napełnił mnie jednak wielką radością, gdyż to było pierwsze prawdziwe zwycięstwo.

Dolly umilkł. Poczęstowałem go kawałkiem szynki. Nie przyjął.

— — — — — — — — — — — — — — —

Szkoła tresury psów policyjnych, którą zwiedziłem dzięki uprzejmości pp. komisarzy Straży Granicznej: Ferencowicza i Jurkowskiego, komendanta szkoły, jest pod każdym względem zakładem wzorowym.

Posiada ona stale 30-tu wychowanków, pięknych, rasowych wilków (psy te nadają się najlepiej).

Kurs trwa 8 miesięcy.

Szkoła posiada wzorową opiekę weterynaryjną, psie ambulatorjum i szpital. Lubo krótko bawiłem, to jednak wyszedłem z przekonaniem, iż ludzie i psy kochają się tam szczerze.

— — — — — — — — — — — — — — —

Pytacie, w jakim języku rozmawiałem z Dolly i czy szkoła uczy psów mówienia po polsku?

Tak daleko jeszcze nie zaszliśmy, a jednak zrozumiałem i potrafiłem zrobić wywiad z psem.

Ktoś bardzo, ale to bardzo złośliwy, zarzucił mi, że ostatniemi czasy tak zeszedłem na psy, że już rozumiem psią mowę.

# ROZRYWKI UMYSŁOWE

# Wielki konkurs zadaniowy „7 dni"

Począwszy od następnego N-ru rozpoczynamy wielki

## wiosenny konkurs zadaniowy

*Konkurs obejmować będzie zadania, które zostaną zamieszczone w najbliższych ośmiu N-rach „7 Dni".*

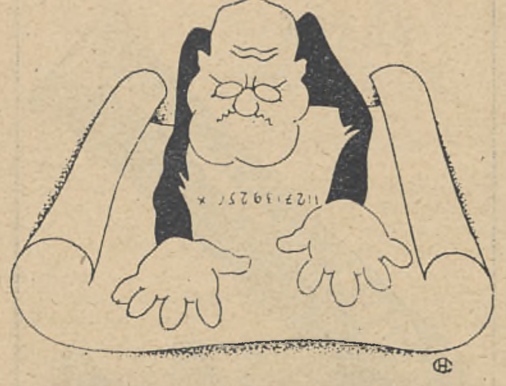
W każdym N-rze umieszczony będzie kupon, oznaczony kolejnym N-rem. W terminie 10-dniowym po ukazaniu się ostatniego zadania konkursowego należy nadesłać wszystkie rozwiązania wraz z kuponami listem poleconym p. a. redakcji. W dniu, o którym nastąpi zawiadomienie, w lokalu wydawnictwa odbędzie się publiczne losowanie nagród.

## NAGRODY

Wśród Czytelników, którzy rozwiążą trafnie wszystkie zadania konkursowe, zostaną rozlosowane

## cenne nagrody w liczbie sześciu

Szczegółowy opis nagród zostanie ogłoszony w Nr. 16-ym. Oprócz tych nagród przewiduje się *szereg nagród dodatkowych, w postaci książek beletrystycznych, oraz nagrody pocieszenia.*



# Cuda wśród liczb

Weźmy sobie taką liczbę: 142857. Z pozoru nie jest ona niczem niezwykłem, może to być numer niewygranego losu, kwitu lombardowego, lub zaprotestowanego weksla. A jednak jest to liczba szczególna, posiada bowiem rzadką własność, polegającą na tem, że jeżeli pomnożymy ją przez 1, 2, 3, 4, 5 lub 6 (gdyż 142857 składa się z 6-ciu cyfr) — otrzymamy zawsze te same cyfry i zawsze w tym samym porządku, tylko zaczynające się za każdym razem od innej. Np. 142857×3=428571. Pomnożymy przez 5, otrzymamy 714285 — znów te same cyfry i ten sam porządek.

Podobną liczbą jest także długa, osiemnastocyfrowa: 052 631 578 947 368 421, przyczem 0 na początku jest potrzebne. Jeżeli tę cyfrę pomnożymy przez każdą z cyfr od 1 do 18, otrzymamy znów ten sam porządek i te same cyfry i znów za każdym razem szereg zaczyna się od innej. Istnieje cała masa podobnych liczb, zwanych kolistemi, gdyż, jeżeli wypiszemy je na tarczy w kształcie zegarowego cyferblatu, to możemy sobie ułatwić mnożenie zapomocą średnicy ruchomej, obracając ją w powyższym wypadku od punktu 1 do 18, przez co na okręgu koła otrzymujemy odrazu gotowy rezultat. Taki np. ułamek 1:59, zamieniony na dziesiętny, daje za przecinkiem liczbę, posiadającą wszelkie własności liczb kolistych. Ciekawe one są nietylko dla matematyków, ale dla każdego miłośnika cyfr, lub choćby amatora wszelkich osobliwości z gatunku szarad, rebusów i krzyżówek.

Każdy wie, co to są liczby „pierwsze" i nie potrzeba wyjaśniać, że własność ich polega na tem, iż bez reszty dzielą się tylko przez 1 i przez same siebie. 7, 13, 23, 1093, że już tylko parę ich wymienimy, należą do liczb pierwszych. Zajmijmy się tylko liczbą $2^{127} - 1$, czyli „dwa do 127-ej potęgi mniej jeden". Nie wygląda ona z pozoru na nic tak nadzwyczajnego, ale ważna jej własność polega na tem, że jest to największa z dotychczas znanych liczb pierwszych. „Odkryto" ją dopiero przed kilkoma laty. Kto chce, może wykonać działanie podniesienia 2 do 127-ej potęgi, odjęcia od rezultatu 1, i otrzyma bagatelną liczbę 170 141 183 460 469 231 731 687 303 715 884 105 727, którą czyta się: 170 sekstyljonów 141183 kwintyljonów 460469 kwadryljonów 231731 tryljonów 687303 biljonów 715 miljardów 884 miljony sto pięć tysięcy siedemset dwadzieścia siedem (oszczędziliśmy czytelnikom wyrażenia całej liczby słownie). Wszystkim nam, pamiętającym czasy inflacji, może nie zaimponuje ta astronomiczna cyfra, skoro prawie każdy niemal żebrak był autentycznym miljarderem, ale nie bądźmy zbyt pochopni i zastanówmy się naprzykład, co możnaby kupić, posiadając taką sporą ilość zwykłych groszy, monet chyba niekoniecznie cennych. Otóż mając „w kieszeni" te 170 sekstyljonów i tak dalej groszy, moglibyśmy z lekkiem sercem zapłacić gotówką za całą kulę ziemską, choćby była z czystego złota i nie odczulibyśmy tego wydatku, bo całej sumy starczyłoby na kupienie 600 przeszło takich złotych planet. Ale zejdźmy z terenu międzyplanetarnego i przyjrzyjmy się zwykłej liczbie 28. Cóż w niej szczególnego? Wszystkie czynniki tej liczby, a więc 1, 2, 4, 7 i 14 dają w sumie również 28. Rzadka to własność, którą liczba 28 dzieli z niewieloma innemi, jak np. z 6 (gdyż 1+2+3=6), dalej z 496 i 8128, pozatem już idą liczby „grubsze". Szczególna ich i ważna w matematyce własność pozwoliła nazwać je liczbami doskonałemi. Znamy ich zaledwie dwanaście, choć zajmowano się szukaniem ich od czasów starożytnych.

Już Euklides, matematyk grecki z 4-go wieku przed Chrystusem, wyznaczył je wszystkie i obliczył, a do dziś nie możemy do owoców jego pracy nic dorzucić. Wszystkie te liczby są parzyste. Mimo mrówczej pracy nikomu nie udało się jeszcze znaleźć „doskonałą" liczbę nieparzystą, choć za rozwiązanie tego dotąd niewykonanego zadania czekałby szczęśliwca może i dyplom doktora matematyki „honoris causa".

Przejdźmy teraz do łatwiejszych rozważań. Jaka jest najwyższa liczba, którą moglibyśmy wyrazić dwiema cyframi? Kto myśli, że jest to 99, znajduje się w grubym błędzie, bo $9^9$, czyli „dziewięć do potęgi dziewiątej", albo 9 × 9 × 9 × 9 × 9 × 9 × 9 × 9 × 9 = 387 420 489, jest nierównie większą liczbą, którą jednak możemy wyrazić dwiema tylko cyframi. A jaka jest największa liczba, wyrażalna trzema cyframi? Tu już zagadnienie jest odrobinę bardziej skomplikowane, gdyż nie jest to ani 999, ani $99^9$, czyli „dziewięć do dziewięćdziesiątej dziewiątej potęgi", choć zaprawdę, ta ostatnia jest liczbą, wyrażalną trzema cyframi, piszemy $9^{(9^9)}$, a czytamy „dziewięć do potęgi dziewiątej, podniesionej jeszcze do potęgi dziewiątej". Można to na podstawie poprzedniego pytania wyrazić tak: $9^{387, 420, 489}$. Jaką to daje liczbę? Zaczyna się ta liczba od 233, a za temi 233 trzeba wypisać jeszcze ni mniej, ni więcej, tylko 369 miljonów cyfr „z ogonkiem". Nawet ta największa dotychczas znana liczba pierwsza, o której mówiliśmy poprzednio, wobec tej liczby jest zaledwie znikomym atomem. Aby ją bowiem napisać, trzebaby ustawić cyfry jedna za drugą drobniutko na długości okrągło tysiąca kilometrów! A przecież daje się ona wyrazić zaledwie trzema cyframi.

Wartoby się zająć teraz słynną liczbą „pi", wyrażającą w przybliżeniu stosunek długości okręgu koła do długości średnicy. Jest to 9, 141 592 65... i tak dalej w nieskończoność. Ileż lat pracy, ileż gigantycznych wysiłków włożyła ludzkość, aby liczbę tę zamknąć i tem samem móc rozwiązać kwadraturę koła. Możnaby tomy całe o tem pisać, a prace nad określeniem „pi" zajęłyby chyba największą na świecie bibljotekę. Liczba ta jedna jedyna może się pochwalić, że opiewali jej chwałę i tajemniczość poeci — ale dziś już nikt nie wątpi, że całkowite jej wyznaczenie jest niemożliwością. Kosztowała ona ludzkość więcej trudu, niż wynalezienie „perpetuum mobile", a absorbowała nierównie tęższe umysły, niż „wieczna maszyna".

Na zakończenie przyjrzyjmy się liczbie 2.000.000.000. Dwa miljardy. Liczba ta interesuje nas bardzo, wyraża bowiem w przybliżeniu ilość ludzi, zamieszkujących nasz padół płaczu, według ostatnich urzędowych statystyk. Nie ulega kwestji dla nikogo, że jest to ilość ludzi, dotychczas na ziemi rekordowa, a rekord ten jest bity z godziny na godzinę, z sekundy na sekundę. Przed dwudziestu laty, w 1910 roku, ludność ziemi wynosiła ledwie 1 miljard 600 miljonów, powiększyła się więc w ciągu tego czasu o całe 25%. Daje to chyba do myślenia na temat naszej przyszłości. Łatwo bowiem wyliczyć, że jeżeli przyrost ludności będzie postępował równie szybko, to za marne 36 lat osiągnie ziemia trzeci pełny miljard mieszkańców, a za 145 lat, więc anno 2076, pełny dziesiąty. A co będzie dalej? Jak się będą przedstawiać warunki bytu, miejsca i pożywienia na łonie matki-ziemi? Czy naprawdę trzeba będzie wszędzie wystawić tablice pouczające: „Only standing rooms!" („Miejsca tylko stojące!"). Liczby pokażą...

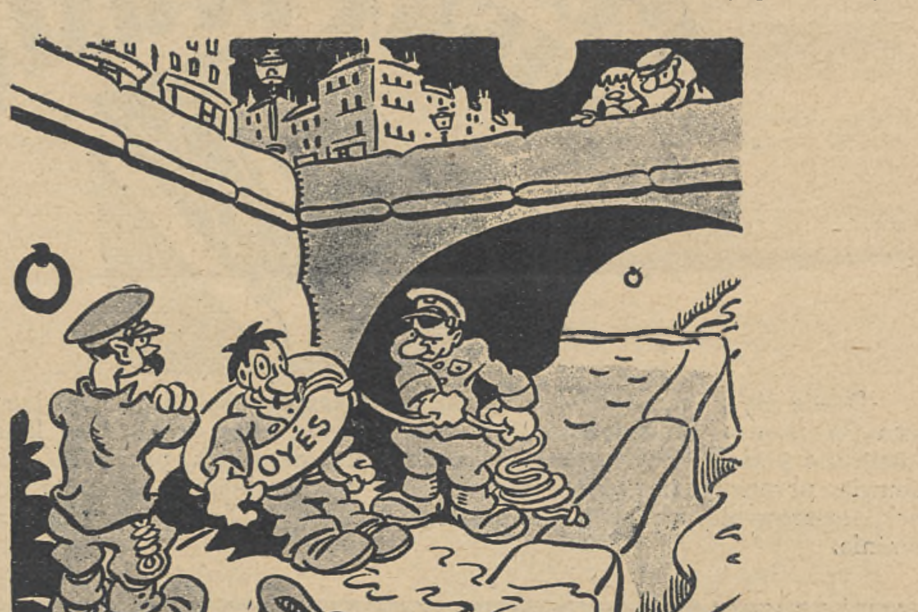
*E. S.*



*— I nie wstyd też twemu majstrowi tak przeładowywać wózek?*
*— Mówiłem mu — a on mi na to, że zawsze znajdzie się jakaś oferma, żeby mi pomogła.*
*(Gringoire)*



*— Proszę pamiętać, że jeśli tylko zauważę, że Antonina nosiła moje suknie — wyrzucę!...*
*(La Campagna Gracia)*




*— Mam nadzieję, że odechce się wam skakać do wody na przyszłość...*
*— Czy ja wiem?! Zostawcie mi lepiej pas ratunkowy...*
*(Rire)*

# Wśród książek

*M. A. Aldanow. — Współcześni. — Wydawnictwo Alfa — Warszawa, 1931.*

M. A. Aldanow uważany jest za jednego z najwybitniejszych pisarzy doby dzisiejszej. Interesują go postacie, wyłaniające się na tle wielkich zdarzeń dziejowych i przyznać należy, że doskonale umie je scharakteryzować, tu i ówdzie podmalowując niektóre rysy, wydobywając na wierzch ukryte efekty — rozprawiając się z niemi, jak wielki portrecista, albo raczej jak głęboki satyryk. Operuje pewnie i zdecydowanie, nie troszcząc się nawet o ścisłość historyczną, gdy może przy pomocy szeregu „on dit" sprowadzić wiekopomne czyny do zjadliwej groteski. W każdem pociągnięciu poznać w nim można Rosjanina — rozmiłowanego w analizie i chłostaniu wszystkich, a w pierwszym rzędzie, choć czyni to pośrednio, i samego siebie. Oryginalny pogląd na własne metody działania wypowiada na wstępie, jakby pragnąc przygotować do nich czytelnika i odeprzeć zarzuty, które może skierować za bezlitosne obchodzenie się z ludźmi bądź co bądź wielkimi.

„W katalogu księgozbioru, poświęconego rewolucji francuskiej — pisze Aldanow — nieskończonym szeregiem ciągną się karty działu biograficznego. Oto jakobini — a kogo tu niema! Widzimy nazwiska przywódców, tych wodzów, o których wspomina nawet Iłowajskij, dalej spotykamy jakobinów drugorzędnych, trzecio, a nawet dziesięciorzędnych. Każdy, najmizerniejszy nawet jakobin, ma swą biografję (a czasem nawet kilka) — i to biografję, jak należy, opatrzoną portretem, facsimile, uwagami w odnośnikach, *niewydanemi dokumentami...* W swoim czasie Taine wypowiedział kilka gniewnych myśli, tyczących się tego, czem byliby niektórzy z owych ludzi, gdyby nie rewolucja francuska. Jest to stanowisko niczem nieumotywowane i w istocie swej tanie, nieraz jednak kuszące badaczy. W stosunku do działaczy rewolucji październikowej również i piszący te słowa niegdyś je zajmował. Rzeczą najzupełniej prawdopodobną wydaje się, naprzykład, że w innych okolicznościach historycznych Lenin zostałby mógł pierwszorzędnym działaczem inkwizycji, Zinowjew — arcybogatym właścicielem kasy pożyczkowej, Trocki zaś towarzyszyłby Pizarro do nowych ziem, albo byłby trucicielem na dworze tureckiego sułtana. Jednakże wszystko stało się inaczej, ja zaś, w chwilach szczególnie ponurego nastroju, wyobrażam sobie wielotomową biografję Bucharina — naturalnie, opatrzoną portretem, fascimile i niewydanymi dokumentami: wiek XXI bowiem będzie z pewnością bardziej obfitował w pracowitych docentów, niż doba dzisiejsza. Napewno wyjaśnią oni wszystko: w jakich warunkach wychowywał się Bucharin, czy lubił naturę, jakie marksowskie listy pisywał do narzeczonej, w jakiej kawiarni zapoznał się z Leninem i co powiedział na jedenastej konferencji. Będzie to „sąd historji". W drugiej rubryce katalogu zestawione są biografje tych działaczy, których Europa przeciwstawiła Rewolucji Francuskiej. Ten to właśnie pododdział wywołuje pewne asocjacje..."

„Współcześni" — to właśnie ci „Pittowie", których współczesna Europa przeciwstawiła rewolucji październikowej, z Clemenceau, Briandem, Lloyd Georg'em i Stalinem na czele — to smutna galerja grotesek, naszkicowanych z werwą i humorem, pokrywającym głęboko utajony żal.

W innem miejscu książki znajdujemy uzupełnienie tego wyznania szczególnej wiary, lub jak kto woli — niewiary w ludzi.

„W historji ostatnich lat dwudziestu — pisze Aldanow — wiele rzeczy pokrywa jeszcze tajemnica. Zasadnicze sprawy stały się jednakże widoczne. Jedni działacze polityczni opublikowali swe wspomnienia, innym poświęcono szczegółowe prace biograficzne. Nie powiem, że zawsze są interesujące. Lichtenberg, jeden z najdowcipniejszych pisarzy wieku ośmnastego, zapewniał, że biografje mocarzy świata warto czytać tylko w tym wypadku, jeśli cały nakład został spalony ręką kata — w przeciwnym bowiem razie, nie zawierają słowa prawdy. Jest to, naturalnie, żart. Trzeba jednak przyznać, że w wieku XVIII-m przed mocarzami świata nie wylewano takich potoków ordynarnych pochlebstw, jak czasami spotyka się w biografjach współczesnych bohaterów demokratycznego i nie-demokratycznego świata. Coprawda biografje te mają krótki żywot, podobnie jak nie są wieczni niektórzy bohaterowie. Heine mówił o Meyerberze: „Będzie nieśmiertelny przez całe życie i nawet trochę dłużej, dlatego, że zapłaci za to zgóry". Teraz niejedno uległo zmianie. Jeśli pierwszy Rockefeller ma entuzjastycznych biografów, to posiada ich również i Swierdłow i Kamo...."

W kolejnych numerach naszego pisma podaliśmy w streszczeniu rozdziały z książki, poświęcone Stalinowi i Churchill'owi. Uczyniliśmy to rozmyślnie, gdyż czytelnik najlepiej zorjentuje się z nich, czy warto przeczytać całość. Zachęcamy gorąco — gdyż nawet w wypadkach, gdy Aldanow daje się unieść zmysłowi essayisty-satyryka, poglądy jego są nawskroś oryginalne, niespotykane, niezwykle interesujące.

# Delikatny naskórek

Wszelkie mydło, z najlepszych nawet surowców przygotowane, zawiera pewną ilość ługu wolnego, który działa szkodliwie na skórę delikatną (u dzieci na całem ciele, u dorosłych głównie na twarzy), drażniąc ją i usuwając tak konieczną dla zdrowia cery warstewkę tłuszczu, znajdującą się w naskórku.

Z tego względu mydło, przeznaczone dla dzieci i dla dorosłych o wrażliwej cerze, należy przetłuszczać w sposób specjalny, by całkowicie usunąć szkodliwe działanie ługu, co naturalnie podraża produkcję.

Drugim warunkiem, koniecznym przy produkcji takiego mydła udelikatniającego, jest perfumowanie go czystemi olejkami naturalnemi, z zupełnem pominięciem olejków syntetycznych, które, zawierając pewne cząstki chloru lub węglowodanów, działają destrukcyjnie na delikatną skórę.

Powyższym warunkom odpowiada w zupełności mydło, które dzięki swemu przeszło 30-letniemu doświadczeniu i swej sumienności, produkuje firma *Bebe Szofmana*, a które pod nazwą *Mydła Bebe Szofmana* jest powszechnie stosowane przy kąpieli dziecka i przy myciu się dorosłych o wrażliwej cerze.

*Dr. S. A.*

# PERŁY! PERŁY!

Najszlachetniejsze w dostojnem królestwie klejnotów, najcudniejsze z ozdób pięknej kobiety, najbardziej oklepany komunał poezji „perlącej się" i mizdrzącej, jak zęby „niczem sznur pereł pośród wiśniowej rany słodkich ust", jak łzy „perłowe", matowe i ciężkie, jak „rozpalony uśmiech" i „rżnięty w macicy perłowej" zasługują chyba skromne perły, aby im poświęcic niejeden artykuł.

Wierzymy w wartość poetyckiej „perłowej metafory", lecz nie wolno zamykać całej wiedzy o nich w andersenowskiej legendzie, w myśl której powstały z przelanych łez syren, zawiedzionych w miłości do pięknych i lekkomyślnych królewiąt.

Prawdą jest, że powstały z bólu, są więc bolesnym klejnotem nie tyle syren, ile niewielkich, niepokaźnych nazewnątrz małżów morskich, których bliscy bardzo kuzynowie występują także w naszych zbiornikach wodnych.

Skorupa małża w przekroju jest trójwarstwowa, wewnętrzna jej część, nawet u najpospolitszego przedstawiciela tej grupy, pokryta jest tęczową wydzieliną komórek płaszcza (skóry), niby zastygłą wypociną, której cienkie warstewki grają mieniącą się perłową polewą. Oto właśnie istota perłowca, która między płaszczem i skorupą tworzy perłę, we wnętrzu niepozornego perłopława, spoczywającego na głębokości 5—15 metrów, gdzieś w bezmiarze ciepłych mórz i oceanów, na złożu skał koralowych.

Czemu normalnie, zupełnie równomiernie rozłożona macica perłowa, kształtuje się w okrągłą łzę-perłę? Oto pytanie, na które nauka po dziś dzień zupełnie ściśle nie odpowiedziała.

W każdym razie perła jest wynikiem stanu patologicznego, schorzenia wywołanego, jak chcą parazytologowie, przez pewną odmianę drobnego, nie poznanego jeszcze dokładnie, tasiemca, który przenika między skórę i muszlę. Podrażnione tem najściem komórki wydzielnicze płaszcza, pośpiesznie starają się unieruchomić przykrego szkodnika i otaczają go swą wydzieliną, stygnącą w perłę, stale rosnącą, wskutek czego wielkość pereł zależy od ich wieku. Im starsza, tem większa, cenniejsza i bardziej pożądania godna. Powstaje w bólu, w pragnieniu samoobrony mięczaka, a przez ludzi ku płochej ozdobie wydarta, staje się przedmiotem westchnień, namiętności natchnień i zbrodni.



*Aparatura do badania pereł.*

Inna hipoteza, poparta, jak zobaczymy, efektownemi i efektywnemi wynikami, poucza, że perła tworzy się zawsze, o ile tylko wywrzeć odpowiedni ucisk na płaszcz perłopława, który, podrażniony choćby ziarenkiem piasku z dna morskiego, także pośpiesznie perłę formować pocznie.

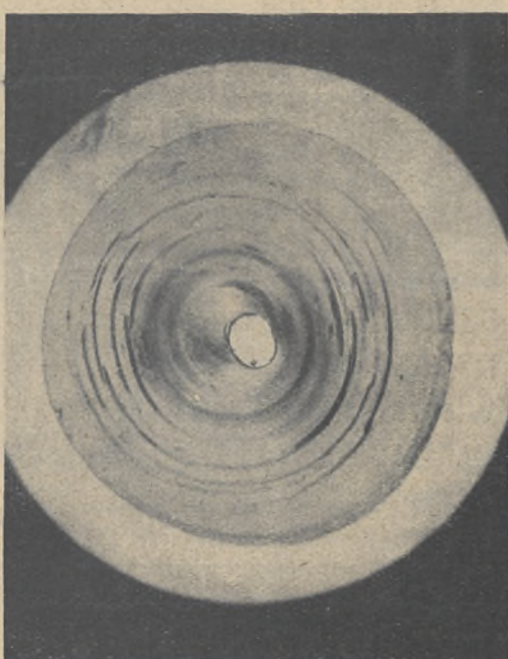
To właśnie założenie skłoniło badaczy do rozpoczęcia na wielką skalę hodowli, tak zwanych pereł „sztucznych" lub „japońskich". Ich „sztuczność" jest raczej tryumfem ludzkiej myśli i woli, która zmusza nierozumne stworzenia do formowania pereł na rozkaz człowieka, ich „japońskość", ponieważ pierwszą hodowlę perłopławów na wybrzeżu Japońskiem założył słynny biolog japoński, Mikimoto. Nie przypuszczano wówczas, że jego fantastyczna próba wywoła na światowym rynku inflację perłową, obniżającą wartość pereł, których cena była związana nie tyle z ich rzadkością, ile z trudnością poszukiwań i niedostępnością miejsc, gdzie ich ławice zalegały, a chociaż, naprzykład, w roku 1888, w ciągu jednego dnia na 41 łodzi wyłowiono 241.000 perłopławów, to jednak między tą masą zwierząt tylko nieliczne wykształciły perły doskonałe i prawdziwie cenne.

Produkcja japońska nie jest narażona na takie niespodzianki, a ponieważ nietylko laik, ale nawet specjalista nie odróżnia dokładnie perły naturalnej od prawdziwej japońskiej, więc panika na rynku perłowym jest zupełnie uzasadniona.

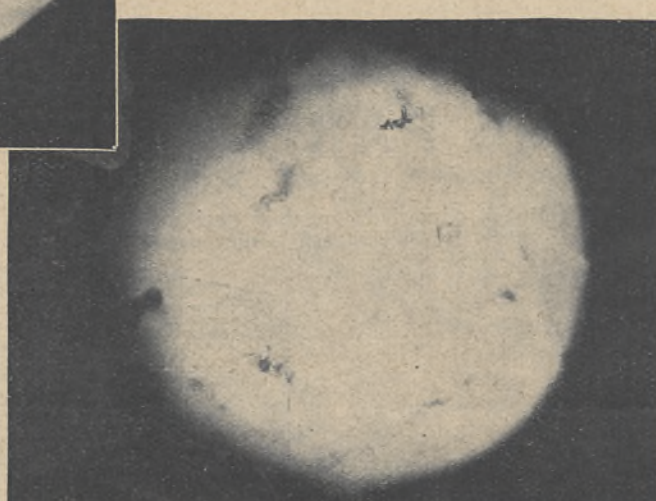
A przecież owa „sztuczność" pereł jest najprostszą i najnaturalniejszą w zasadzie. Mikimoto, obserwując narastanie pereł w muszli perłopława, przyjął drugą z wymienionych powyżej hipotez i zorganizował wylęgarnię pereł na wielką skalę. Nad każdym wyłowionym perłopławem, nie zawierającym pereł, co się zdarza najczęściej przy wszelkich połowach, dokonywuje się drobnej operacji wprowadzenia przez otwór skrzelowy małża pod płaszcz ziarenek piasku. Zoperowane perłopławy umieszczano w wielkie kosze, które wiązano w ogromne tratwy i zatapiano w morzu na odpowiednich głębokościach, gdzie w ciągu szeregu lat pozostają pod opieką wyspecjalizowanych biologów. Ponieważ barwa i połysk pereł zależą od zmiennych chemizmów wody morskiej, specjalne łodzie motorowe holują od czasu do czasu całe ławice do miejsc odpowiednio wybranych i najodpowiedniejszych dla pereł.

W ten sposób wyhodowane perły nie ustępują prawdziwym pod żadnym względem a ponieważ firma Mikimoto produkuje obecnie miesięcznie tysiące pereł może je sprzedawać po cenach daleko niższych, niż dotąd. Stopniowo perły japońskie wypychają z rynków perły naturalne i nic nie pomogą instytuty do badania ich prawdziwości, jak utworzony ostatnio w Berlinie Deutsches Institut für Perlenforschung.

*M. Ch.*



*Szlif perły. Wewnątrz widzimy jądro (ciało), wywołujące sperłowacenie.*



*Klejnot widziany przez mikroskop. Ciemniejsze kryształki dają rękojmię prawdziwości.*

*„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE*
*Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.*
*Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.*
*Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200. ½ strony zł 600. mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.*
Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.
*Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.*